№ 34 Warszawa, dnia 9 (21) Sierpnia roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80 W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Z WYCIECZKI
Na Święty Krzyż i w Kieleckie.
Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

(Dalszy ciąg).

W środkowej nawie zwracają uwagę naszą sześć ołtarzy, z obrazami w nich pędzla Smuglewicza.

1) Obraz Ś-tej Trójcy, w wielkim ołtarzu, w tem właśnie miejscu wzniesionym, kędy w X-tym jeszcze wieku pogańska stała świątynia, poświęcona bóstwu Świst-Poświst, czyli Lellum-Polellum.

2) Św. Emeryk, królewicz Węgierski, błąkający się na puszczy. Legenda niesie, iż razu jednego królewicz, wraz z ulubionym psem, jelenia ścigając w Łysogórskiej kniei, wpadł w ostęp dziki, z którego mimo wszelkich usiłowań wydostać się nie zdołał. Trwogą zdjęty, ratunku błagając, westchnął młodzieniec do Stwórcy. I światło nań wielkie uderzyło: na białych skrzydłach spłynął mu anioł z błękitów, przyrzekając wyprowadzić z niebezpieczeństwa jak skoro przysięgnie: iż złoży tu w świątyni na ofiarę Bogu, cokolwiek ma najdroższego w państwie swojem. Wykonał przysięgę królewicz, i ojcu szczęśliwie wrócony, na pamiątkę cudownego zdarzenia, znajdującą się w Węgrzech relikwię Krzyża Chrystusowego przeniósł tu na Łysą Górę, do Benedyktyńskiego Opactwa.

3) Św. Stefan, król Węgierski, uroczyście wręczający synowi Emerykowi relikwię Krzyża Świętego.

4) Św. Benedykt, patryarcha mnichów na Zachodzie, pierwszy opat Ś-go Krzyża w Monte Cassino we Włoszech, nawiedzający siostrę swą Św. Scholastykę, Przełożoną Benedyktynek. Obraz przedstawia starca z białą jak mleko głową, stojącego przed siostrą ze słowem pożegnania na ustach. Zatrzymuje go jeszcze na chwilę święta panna: rozmowa tych dwojga rodzeństwa, to zlanie się dwóch serc, to hymn serafícznej miłości, sięgający tronu Bożego. Wymawia się Benedykt obowiązkami i koniecznością natychmiastowej podróży, a co widząc święta Scholastyka, krótką zanosi modlitwę o skruszenie brata. Wysłuchana jej prośba: Pan zsyła gromy, błyskawice i deszcz ulewny z pogódnego dotąd nieba. Palcem wskazując w górę, woła święta: patrz bracie, modlitwą skruszyłam niebiosa, a ty się jeszcze upierasz?!

5) Zgon św. Benedykta w Cassino, na ręku braci zakonnej, w VI w. ery (543 r.)

6) Niepokalanego Poczęcia (Szkoły Włoskiej).

W pobocznych nawach i w kaplicy, znakomitego pędzla freski przedstawiają Znalezienie Krzyża Ś-go w IV wieku ery naszej przez Św. Helenę Cesarzową, matkę Konstantyna Wielkiego. Szczątki Krzyża Ś-go, umieszczone za szkłem, w złotem relikwiarzyku z nadpisem przechowują się tu w wielkiem ołtarzu. Relikwiarz ma kształt krzyża, godło królestwa Węgierskiego. Dar ten Św. Emeryka wyzłocony i odświeżony został 1626 r. przez Bogusława Radoszewskiego, ówczesnego opata Łysogórskiego. Bolesław Chrobry, ów „mąż stalowy“ walką z ościennemi narody i rozszerzaniem granic państwa zajęty, niepomału też troskał się o chwałę bożą. Bolesław to, pierwszy, w miejscach, gdzie wprzód pogańskie Światowida i Marzanny wznosiły się świątynie, fundował kościoły, szczodrą je opatrując dłonią. Król ten, jak wiadomo, z dalekich Włoch Benedyktynów sprowadził do Polskiej ziemi. Fundacyi jego pierwsze trzy w kraju naszym stanęły Opactwa Benedyktyńskie: w Sieciechowie, w Tyńcu i na Łysej Górze, w XI w. (1,006 r.) Zakonni bracia z Sublaceńskich szczytów (Subjaco w Apeninach) przenosząc z sobą pomniki starożytnej wiedzy, pierwszymi stali się u nas krzewicielami światła. Pobożność tęskniących za ideałem wieków średnich, ascetyczny duch owych czasów, nagromadziły tu wielkie skarby na Łysej Górze. W XIII już wieku, kościół tutejszy słynął z bogactw i kosztowności. Niejednokrotnie też bywał napadany i niszczony przez nieprzyjaciół. Między innemi, za Bolesława Wstydliwego w 1260 r. Tatarzy, plądrując kraj cały, pod dowództwem Buki i Telebogi, dwóch dzikich mongołów, wpadłszy na Łysą Górę, złupili klasztor tamtejszy i wszystkich zakonników wymordowali. W sto lat później, 1370 r. książęta znowu Litewscy wtargnęli na Św. Krzyż zrabowali kościół i klasztor, a nawet zabrali z sobą i drzewo Krzyża Ś-go, Gdy przeto, wedle słów tradycyi, tabor litewski bogatym obciążony łupem, wyjeżdżać już miał z bramy klasztornej, stanęły konie jak wryte. Nie pomogły tu krzyki, gwałt i katowanie przelęknionych zwierząt: nie ruszały się z miejsca. Podówczas to przed wściekłym z gniewu Litwinów wodzem staje piękna jak różane zorze, o płowym włosie i modrych oczach, polska dziewica. Otaczają perłę Lechicką brodaci Krywejty synowie, a każdy klnie na Perkuna, że jego to będzie branka lub niczyja...

Z piersią falującą, z łzawemi oczyma, ręką w niebo wskazując, Helena z Dębna zapewnia wodza, iż daremne są wszelkie ich pokuszenia, że ściągnąwszy z ołtarza, relikwiarzyk z szczątkami Krzyża Ś-go, skarb najdroższy kościoła tutejszego, Bóg Chrześcian, zetrze ich pychę i samowolę ukróci...

— Ślepi! nie widzicież cudu? z głębokiem przekonaniem, rzeknie im Helena. Zabierzcie wszystko, relikwie tylko zostawcie a w spokoju obozowiska wasze wyruszą.

Cenny relikwiarz, myślą Litwini, alež łup cały droższy poganom. Wahania chwilka... i wreszcie bohaterce skarb powrócony... z wrzaskiem i przekleństwy ruszają Litwini, pożądliwem jeno za

Laszką wiodąc spojrzeniem. Znika im z oczu Helena... ale spokój z serca wodza wygnany. Opuszcza on hufiec, z butnego ciemiężcy łagodnym staje się barankiem... Wracają oboje do klasztoru: Helena składa Panu relikwiarz odzyskany, Litwin przyjmuje chrzest święty... z nim zaś klejnot herbowy i ręka Habdanków latorośli jego się staję własnością...

Mnóstwo tu jeszcze dokoła, w kościele i po krużgankach, nagrobków i płyt kamiennych, wzniesionych pobożnej pamięci Opatów tutejszych w ciągu lat 700. Klasztor Łysogórski licznym ulegał pożarom, najstraszniejsze z nich były w 1459 i 1777 r. Ten ostatni zniszczył prawie do szczętu kościół i klasztor, na miejscu których w 1806 r. nową dźwigniono świątynię. Zakon Benedyktynów przetrwał na Łysej Górze lat 800 z górą. Przybyli tu, w 1006 r. egzystowali bracia klasztorni do 1819 r. Po kassacie zgromadzenia, utworzono ostatecznie z klasztoru tutejszego dom pokuty dla księży demerytów, lecz w 1863 r. przeniesiono tychże do Liszkowa, w Augustowskiem. Odtąd też pustkowie tu straszne na Łysej Górze. Labirynt cały rozrzuconych po olbrzymim kurytarzu celek klasztornych. Małe one wszystkie, z okienkiem u góry drzwi, każda. Pleśnią okryte ściany, zaduch i niemiła woń, uderzające przy wejściu, prawdziwe znamionują rumowisko. Puszczyki tu jeno gnieździćby się mogły.

— Otóż i mieszkanie Regensa domu pokuty, odezwał się przewodnik nasz, otwierając szersze od od innych podwoje, w samym środku kurytarza położonej celi. Tu sądy się odbywały klasztorne, ztąd wychodziły straszne nieraz wyroki. Przed księdzem Regensem, jak mówią, nic się nie ukryło, wszędzie był sam, o każdej wiedzieć musiał drobnostce. Tam dalej, trochę na lewo, widzą państwo celę Nr. 35? To karcer Łysogórski dla dobrodziejów, którym, Boże uchowaj, brykaćby się za chciało!

— Ależ to jama obrzydła... więzienie z czasów Torquemody! przestępując progi, zawołał ktoś z nas.

Ciemna to była w istocie komórka, wilgotna, z pryczą w ścianie... i trochę zbutwiałego barłogu. Ponure ztąd wionęły wspomnienia.

— Co się państwu zdaje? rezolutnie prawił młody organista, juściż nie na miody pakował tu ksiądz Regens nieposłusznych! Dużoby gadać o wszystkiem, na co te ściany patrzyły... Archiwum domu pokuty po 1863 r. zabrano, podobno do Warszawy, tak przynajmniej rozpowiadał, ostatni już tutejszy Benedyktyn na Łysiej Górze! Spalił się nieborak wypadkiem przed kilku laty. Kładąc się spać, zostawił niezgaszoną świecę przy łóżku. Płomień, widać, ogarnął pościel, a dym udusił we śnie starego. Wiekowy to był człek, powiadają, więcej stu lat dźwigał w barkach!

Cicerone nasz, po raz zapewne tysiączny opowiadając też same szczegóły i fakty nie tracił jakoś humoru i werwy. Oprowadzał nas wszędzie, pomagał nawet w wędrówce po spadzistych i chwiejących się wschodach wyższych pięter. Wdrapaliśmy się wreszcie na kopułę samą. Wązka jej, z grubej kuta blachy galeryjka, zdawała się uginać pod ciężarem kroków naszych. Było to jednak proste złudzenie tylko. Krocie już ciekawych przeciągnęło się po niej, a co jeszcze po nas tu ludzi zawita! Wsparty o balustradę, w daleki spojrzałem widnokrąg. Co za rozmaitość wrażeń! .. Gubi się oko w coraz wspanialszych widokach. Słońce, chylące się już ku zachodowi, purpurowe przesyłało nam błyski, tęczowe chmurki powietrzną zdawały się odpowiadać gonitwą, poezya słoneczna w rzeczywistości ziemskiej!... u stóp naszych roztaczają się prześliczne kotliny, dalej nieco, wśród kobierca rozzielenionych łąk, na tle ugorów i wód, wdzięcznie się uśmiechają okoliczne sioła... Z po za czarnego pasma borów, w sinej mgle, z wieczorną rosą podnoszących się oparów, rysują się wężowe sploty Łysicy. Wielką jest potęga przyrody... Nie mogąc oderwać oczu stałem wciąż na galeryjce. Ztąd niejeden mnich tęsknym poglądał wzrokiem w świat, co obrawszy go ze złudzeń, kratę klasztorną, jako ostatnią pozostawił ucieczkę... Niejedna szczebiotała tu różowa buzia, niejedno żywiej uderzyło serduszko... życie uosobieniem jest kontrastów: mgły i promienie spotykają się co chwila...

— Ruina to już, klasztor ten nasz Łysogórski, podając mi księgę przeznaczoną do wpisywania imion odwiedzających, zrobił uwagę ksiądz.

— Przeżyła się idea pomyślałem, mury sterczą... Cóż na to poradzić?

— Tak się to u nas dzieje z pamiątkami przeszłości — ciągnął dalej — rozprawiamy o nich, rozpisujemy się, illustrujemy po dziennikach, a kiedy można jeszcze od zagłady je ratować — z założonemi siedzimy rękami...

— Zaciekają dachy... wilgoć wszędzie... ściany się rysują... za jaki rok wędrowiec tu nawet przytułku nie znajdzie... Zeszłego lata akademicy z Krakowa obrali tu sobie główną kwaterę w wycieczkach po okolicy... W przyszłości nietoperze chyba zawitają w gościnę!.. Cóż robić?... i zwiesił głowę posępnie.

Pora już była myśleć o powrocie, pożegnaliśmy księdza, smętne unosząc wspomnienie... Łysa Góra, skarbnica przeszłości... językiem wythu, do nas już dziś przemawia...

(d. c. n.)

WSPOMNIENIE.

Jak pięknie wschodzi świtu brzask
Z nad porannego słońca wrót!
I gwiazd majowych piękny blask,
Gdy z nad omglonych świecą wód...
Lecz mnie cudniejsze blaski lśnią,
Piękniejsze widzę gwiazdki dwie:
Gdy się w twarz białą wpatrzę twą —
W te śliczne, duże oczy twe...

* * *

Po nad strumykiem, w letni dzień,
Niebieski kwiatek, smętkiem tchnie,
W zielonych listków zwity cień,
Nie zapominaj, woła, *mnie!*
Lecz mnie rzewniejszy urok tchną
Niebieskie, tęskne kwiatki dwa:
Gdy pod cienistą rzęsę twą
Do twojej duszy patrzę dna...

* * *

Barwami tęczy w zmiennej grze
Brylantów ogień pięknie drga,
Gdy biała szyja, strojna w nie,
Z wieczorowego błyśnie tła.
Lecz mnie cudniejsze oczy twe,
Niż te brylanty z świateł grą;
Gdy *wzrokiem duszy* patrzę w nie,
Bo już tam w niebie one są...

Józef Grajnert.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez
Wiktora Cherbuliez
przekład
Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Ksiądz Miollens pośpieszył zaraz do Cormeilles, gdzie powtórzył szczegółowo rozmowę swą z panem Laryńskim. Nie był jeszcze ochłonął z pierwszego wrażenia, to też puścił wodzę zapalczywemu uwielbieniu. Śpiewał pochwalne hymny na cześć bohaterskiego ducha, który objawił mu swe najskrytsze tajniki, to też zadziwił się, a nawet i zgorszył, gdy pan Moriaz, wysłuchawszy spokojnie opowiadania rzekł:

— Masz pan słuszność, jest to człowiek niezwykły, którego trzebaby kanonizować, albo powiesić, niewiem jeszcze, co by było stosowniejsze.

Antonina milcząc odeszła do swego pokoju, miotana niepewnością i niepokojem. Po kila razy zbliżała się do biurka, brała za pióro, lecz kładła je znów szybko, odchodząc w inną stronę pokoju. Wreszcie powziąwszy postanowienie usiadła i nakreśliła te słowa:

„Przed wyjazdem do Wiednia, chciej pan proszę przybyć na chwilę do Cormeilles. Pragnę bowiem porozumieć się z nim, w obecności mego ojca.

„Przyjm pan zapewnienie szczerego poważania,
Antonina Moriaz".

Nazajutrz rano otrzymała oczekiwaną niecierpliwie odpowiedź.

„Próba byłaby nad moje siły. Nie chcę cię widzieć, gdyż zobaczywszy panią, byłbym zgubiony".

Odpowiedź ta podrażniła i rozgniewała Antoninę. Rączka od trzymanego przez nią w tejże chwili pędzla, pękła na dwie części pod naciskiem delikatnych paluszków, panna Moriaz mściła się na niej za opór stawiany sobie przez niezwalczoną wolę hr. Laryńskiego. Czyż brylant i żelazo dają się kiedy przełamać? Jednocześnie oddano jej drugi list, który, machinalnie, prawie jak z obowiązku, otworzyła. Przebiegła oczyma kilka wierszy, nie zdając sobie sprawy z zawartego w nich znaczenia. Nagle uwaga jej rozbudziła się, twarz pokraśniała, oczy zabłysły dziwnym blaskiem. List ten który Opatrzność zesłała dla ukojenia mnogich trosk Antoniny, pisany był przez pannę Galet i oto, co zawierał:

„Dowiaduję się z radością, że kochana pani moja już powróciła, jakżebym pragnęła widzieć ją. Ty jesteś moim aniołem, którego chciałabym ciągle mieć obok siebie, to też tęskniłam bardzo. Gdy wchodzisz do mego poddasza, zdaje mi się że trzy słońca zajaśniały na niebie, gdy się oddalisz noc otacza mnie nawet w czasie południa. Pani de Lorcy była dla mnie bardzo dobrą. Stosownie do polecenia mego anioła, przyszła sama wypłacić mi kwartalną pensyę. Jest to osoba bardzo dobroczynna, mająca piękne suknie, ale trochę za szorstka dla biednych ludzi. Za wiele się pyta, wszystkoby wiedzieć chciała. Wymawiała mi, że za wiele wydaję,

że lubię zbytek, a pani wiesz czy to prawda. Ona nie domyśla się nawet, jak wszystko podrożało, że mięso i kartofle nie mają już ceny, że jaj dokupić się trudno. Zresztą biedna istota nie mająca władzy w nogach, nie może sama chodzić na targi. Być może, że kobieta kupująca dla mnie to wszystko, przepłaca towar; gniewam się zawsze i łaję ją, gdy mi przynosi nowalie; Bóg widzi, że nie jestem łakomą.

„Pani de Lorcy wyłajała mnie także za bukiet z kamelii, który spostrzegła na moim stole, taki sam jak ten, za który dziękowałam memu aniołowi, nie wiem co o nim myślała. Wyobraź sobie droga pani, że dopiero w tych dniach dowiedziałam się, że te prześliczne kamelie są mi ofiarowane przez mężczyznę, gdyż teraz dopiero mężczyźni zaczynają mnie odwiedzać i obdarzać kwiatami, to trochę za późno.

„Ten, o którym mówię, przyszedł tu pewnego poranku i opowiedział, że mówiłaś mu pani o mnie, i że chciał się osobiście przekonać, czy mi czego nie potrzeba. Powracał potem kilka razy, przynosząc różne łakocie, w końcu doniósł mi, że mój anioł nareszcie powrócił.

„Co to za człowiek! chyba on stąpił prosto z nieba. Pewnego wieczora gdy byłam bardzo cierpiąca sam mi przyrządził ziółka, chciał czuwać przy mnie, na co naturalnie nie zezwoliłam. Powiesz mi pani, kto on jest, bo mnie to bardzo zaciekawia. Wygląda jak wspaniały lew, równie szlachetny, jak piękny, ale jeszcze więcej smutny. Musi mieć jakieś wielkie zmartwienie. Wyjeżdża za dwa dni, któż będzie mnie psuł nadal! Obiecał jednak, że jutro po południu przyjdzie się ze mną pożegnać.

„Dowidzenia droga pani. Umieram z niecierpliwości ucałowania cię, kiedy na to zezwalasz. Jesteś pani moim aniołem i słońcem mojem, ja zaś twoją sługą.

Ludwika Galet".

List panny Galet zawierał samą prawdę, prócz jednego ustępu, odnoszącego się do owych nowalii. Jeżeli przeszłość kwiaciarki nie była bez zarzutu, to przynajmniej zachowała ona w głębi serca, wstręt do kłamstwa, potrafiła tylko nie mówić wszystkiego i ukrywać starannie niektóre okoliczności. Nie nadmieniła naprzykład, że za list ten została sowicie wynagrodzoną, że napisała go z polecenia Samuela Brohl, który jednak nie tłomaczył się jej ze swych zamiarów. Lecz panna Galet nie była pozbawioną kobiecej domyślności. Zapłacono jej za dotrzymanie tajemnicy, to też milczała. Małe prezenta i dobre rachunki, robią przyjaciół.

Myśl śmiała zabłysła w głowie Antoniny, nie tracąc czasu kazała zaprządz konie do powozu. Pana Moriaz nie było w domu, korzystając z jego nieobecności prosiła panny Moiseney, aby towarzyszyła jej do Paryża, dla załatwienia tamże kilku sprawunków. W dziesięć minut potem panna Moriaz wsiadła do powozu, rozkazawszy wprzód woźnicy jechać jak mógł najprędzej.

Sprawunki zostały szybko załatwione, mijając ulicę de la Paix, Antonina kazała zawieść się na ulicę Monfferard pod Nr. 27. Nie chcąc trudzić panny Moiseney, która nie miała wielkiego sił zasobu, Antonina poleciła jej czekać w powozie, podczas gdy sama wbiegła szybko na schody prowadzące na piąte piętro, do mieszkania panny Galet. W drodze Antonina spotkała służącą, która objaśniła ją, że panna Galet, uczuwszy się niedobrze na zdrowiu, zasnęła trochę, ale że drzwi od jej mieszkania były otwarte. Mieszkanie to składało się: z przedpokoju, służącego zarazem za kuchnią, z małego saloniku i sypialni. Panna Moriaz, zatrzymała się w przedpokóju, aby odetchnąć po zmęczeniu.

Wszedłszy do salonu, nie zastała w nim panny Galet, ale natomiast ujrzała przed sobą tego dla którego przybyła dziś tutaj. Ujrzawszy kobietę, którą przysiągł nigdy już nie spotkać, Samuel zadrżał i powiódł oczyma do koła, jakby szukając którędy uciec, lecz w jedynych drzwiach stała właśnie Antonina, zagradzając mu drogę. Patrzyła na niego okiem zwycięzcy, on wyglądał jak zwyciężony, bezbronny, niemający sił do dalszej walki.

Stanąwszy przed nim, rzekła czystym i pewnym głosem:

— Tak to kradniesz mi pan moich ubogich? prawda że obrzucasz ich kwiatami. Przyznaj pan że w cnocie jego jest trochę fałszu, panna Galet nie domyśla się nawet, że te sławne kamelie, które jej dawałeś, były przeznaczone nie tyle dla niej, ile dla mnie. Bukiet za 60 franków! Prawdziwe szaleństwo. Jak pan lekceważysz pieniądze! Czemuż to mój majątek tak cię przestrasza? Czy lękasz się oparzyć, dotykając moich pieniędzy? Dla czego nie chcesz mi pan pomódz, wyrzucać ich za okno? Nasi ubodzy podnosić je będą. Majątek mój nie jest znów tak wielki, prawda że sama nie zdołam wydać dochodów, ale z twoją pomocą, łatwiejby to przyszło. Nie chcesz pan przystać na taki podział? jesteś za dumny. Onegdaj więc odegrałeś pan komedyą tylko, nie kochasz mnie, to jasne jak dzień. Zawdzięczać wszystko tym co się kocha, to nic nie kosztuje.

Załamał ręce z rozpaczą.

— Zaklinam panią, pozwól mi odejść, zawołał.

— Pójdziesz pan za chwilę, teraz wysłuchaj mnie do końca. Nie cenię mniemanej dumy pana to zwykła zarozumiałość. Tak zarozumiałość jest twoim bożyszcem, co zaś do owej idei...

Samuel drgnął.

— Ona i ja będziemy zawsze w zgodzie, nie myśl pan, że kiedykolwiek stanę między tobą, a obowiązkiem, owszem połączonemi siłami spełniać go będziemy...

— Ale mówże pan, patrz na mnie. Czy się mnie lękasz?

Samuel rzucił się na nieopodal stojące krzesło, zasłaniając twarz rękoma.

— Wiedziałem, o tak wiedziałem dobrze, wyszeptał, że gdy raz jeszcze zobaczę cię pani, będę zgubiony.

— Powiedz pan lepiej uratowany. Chorujesz, ja cię uzdrowię. Wszakże niekiedy robię cuda, sam mi to napisałeś... Podaj mi pan rękę, to cię do niczego nie zobowiąże.

Ujął jej ręce i zatrzymał w swoich.

— Słuchaj mnie pan mówiła dalej. — Dziś, zaraz w tej chwili, pojedziesz do Cormeilles i powiesz memu ojcu: Ona mi dała swą rękę, chcę ją zachować, zostaw mi ją... Czy tak dobrze będzie? Będziesz pan posłuszny?

— Ty tu jesteś, ty do mnie mówisz, świat cały stał się dla mnie niczem, tyś dla mnie światem całym! zawołał z zapałem Samuel.

— Widzisz pan, aby się zrozumieć, trzeba się wytłomaczyć, a na to, trzeba przedewszystkiem widzieć się, kiedyś pan tak rozsądny gdy mnie widzisz, chcę żebyś zawsze na mnie patrzył. Zachowaj to.

Podała mu medalion zawierający jej portret, potem odeszła ku drzwiom. Stanąwszy na progu, odwróciła się jeszcze.

— Powiesz pan pannie Galet, że nie chciałam przerywać jej spoczynku, powrócę tu jutro. Panna Moiseney czeka na mnie w powozie, muszę się spieszyć. Dałeś mi pan słowo, dziś wieczór oczekiwać cię będę.

To mówiąc wybiegła z pokoju. Woźnica puścił konie pędem, Antonina powróciła do domu przed obiadową godziną. Pan Moriaz jednak był już zaniepokojony, zarzucił pytaniami pannę Moiseney, lecz ona nic nie wiedząc, nic też powiedzieć nie mogła; przybrała tylko zwykłą tajemniczą miną, którą posiłkowała się w razie zupełnej niewiadomości. Widząc to pan Moriaz, postanowił wybadać córkę. Ale został uprzedzony, gdyż zaraz po obiedzie Antonina odprowadziwszy go na bok, opowiedziału mu wszystko.

— Sądzę, że teraz wierzysz w jego bezinteresowność, rzekła kończąc opowiadanie. Uprzedziłam cię ojcze, że będę zmuszona uklęknąć przed nim, aby go nakłonić do ożeniania się ze mną.

Profesor zrobił ruch pełen oburzenia.

— O uspokój się ojcze, dodała, ja tylko tak mówię, on był u moich nóg, ja zaś stałam wyprostowana jak teraz.

Pan Moriaz otworzył trzy razy usta, aby coś powiedzieć, lecz zamykał je znowu nie wyrzekłszy słowa.

Samuel Brohl dotrzymał obietnicy. O dziewiątej wieczór stanął w Cormeilles i został wprowadzony do salonu, gdzie pan Moriaz czekał na niego z gazetą w ręku. Samuel był blady jak ściana, usta jego drżały gdy rzekł:

— Staję przed panem jak złoczyńca, przez litość, sądź mnie, jak na to zasługuję.

— Prawda że przybywasz pan — mówiąc słowami Ewangelii — w nocy jak złodziej, ale nie myślę cię sądzić. Co prawda nie takiego życzyłem sobie mieć zięcia, ale córka moja jest pełnoletnią, nie narzucam jej mego zdania, a sądzę, że nie zawiedzie się w wyborze, jaki uczyniła. Jesteś pan człowiekiem honoru i umiesz oceniać osobistą wartość drugich. Jeśli uszczęśliwisz Antoninę, będziesz miał we mnie szczerego przyjaciela. Wypowiedziałem całą myśl moją, przypuśćmy, żeś pan już odpowiedział i mówmy o czem innem.

Samuel Brohl nie nalegał i rozmawiano o potocznych sprawach. Potrafił on połączyć godność z uprzejmością, był ożywiony, rozmowny, o ile głębokie wzruszenie na to pozwalało. Pan Moriaz musiał przyznać w głębi ducha, że hr. Laryński należy do najlepszego towarzystwa, i że jedyną jego wadą było to, że zapragnął zostać jego zięciem.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Tymczasem Antonina przechadzała się po ogrodzie, oddychając wonnem powietrzem łagodnego wieczora, opowiadając gwiazdom o swoich nadziejach i pragnieniach. Marzenia jej przerywał niekiedy tylko swym nieustannym lotem kołujący w powietrzu nietoperz. Potworek ten zdawał się ją ścigać, krążąc uparcie nad jej głową, raz nawet spuścił się tak nizko, że dostrzegła jego długie uszy i zakrzywione pazury. Antonina zadrżała, cofając się ze wstrętem.

Tuż za nią dało się słyszeć zgrzytanie żwiru. Samuel Brohl pożegnawszy pana Moriaz przechodził przez taras, zmierzając do czekającego nań powozu. Spostrzegłszy wśród cieniu nocy przechadzającą się Antoninę, zbliżył się i wsunął jej na rękę bransoletę, mówiąc:

— Cóż mogę ofiarować pani, coby choć w części dorównało wartości medalionu, jaki mi dałaś, a który nieopuści mnie nigdy? Ta oto bransoleta jest dla mnie wielką pamiątką. Matka moja lubiła ją, nie chciała nigdy rozdzielić się z tym klejnotem, nawet w chwilach największej nędzy, umierając, jeszcze miała go na ręku.

Nie jesteśmy stworzeni z jednej tylko materyi,

nie ma bryły miedzi, którąby nie zawierała w sobie odrobiny złota. Nawet łotry i ludzie zepsuci, w niektórych chwilach życia, poznają, że na dnie ich serca, tleje jeszcze uczucie czyste i święte. Twarz panny Moriaz była do połowy osłoniętą czerwonym kapturkiem, drugą połowę oświecało blade światło wschodzącego księżyca. Samuel Brohl patrzył w milczeniu na tę twarz, na tę postać i Antonina wydała mu się piękną jak zjawisko. Przez chwilę zapomniał, że posiada ona 100,000 funtów rocznego dochodu i że według prawdopodobieństwa pan Moriaz przeniesie się kiedyś do wieczności. Na myśl że kobieta którą widział przed sobą kochała go i że nie zadługo stanie się jego wyłączną własnością, uczuł zawrót głowy. Przez dwie minutu Samuel Brohl kochał pannę Moriaz tak, jak by był mógł ją kochać, hr. Abel Laryński.

Nie zdołał oprzeć się uczuciu jakie nim owładnęło. Objął silnem ramieniem wysmukłą kibić Antoniny i na czole jej złożył gorący, namiętny, prawdziwie polski pocałunek. Nie broniła się przed tym uściskiem, ale nagle nietoperz który przed chwilą prześladował przechadzającą się, powrócił na dawne stanowisko, a uderzywszy Antoninę w twarz skrzydłami, pozostał w miejscu, zaczepiony o czerwony kapturek. Antonina uczuła chłód tych skrzydeł, czuła haczaste pazury na swych włosach. Zerwawszy szybko kapturek, odrzuciła go daleko od siebie. Samuel Brohl podniósł go, przycisnął do ust swych i oddalił się szybko, jak złodziej unoszący swą zdobycz.

Gdy Antonina powróciła do salonu zastała tam pannę Moisseney, której wielka i hałaśliwa radość wystraszyła już ztamtąd pana Moriaz. Tym razem panna Moiseney wiedziała o wszystkiem. Dostrzegła przybywającego Samuela, domyśliła się, co go tu sprowadzało i bez skrypułu słuchała pod drzwiami. Rzuciła się na Antoninę, przycisnęła ją do swej piersi i wołała radośnie:

— Ach! moja ukochana! czy nie przewidziałam, że się to tak skończy?

Panna Moriaz usiłowała oswobodzić się z tych czułych uściśnień, czuła potrzebę samotności i szybko odeszła do swego pokoju. Zdało jej się, że półki zapełnione pięknemi drobnostkami, że ściany powleczone białym atłasem, że firanki osłaniające łóżko, że wielki srebrny krucyfiks na ścianie wiszący, że wszystko dokoła, patrzyło na nią ze zdziwieniem, pytając:

— Co się to stało?

I odpowiedziała:

— Macie słuszność, stało się.

Stanęła przed portretem matki, którą bardzo wcześnie straciła.

— Mówiono mi, rzekła, żeś za życia lubiła nad wszystko czytać romanse. Ja ich nie czytuję, ale masz, oto mój własny romans, z któregobyś była zadowoloną. Człowiek ten zadziwił by cię trochę aleby ci się podobał. Przed kilku godzinami był on dla mnie stracony. Wezwałam na pomoc odwagę, byłam śmiałą, poszłam go szukać, a gdy mnie ujrzał, uległ. Przed chwilą byliśmy razem, tam, na terasie; usta jego spoczęły tu na mojem czole i przy tym pocałunku, członki moje przebiegło dziwne drżenie. Nie gorsz się matko, te usta są tak czyste, tak prawe! Nigdy nie zawalało ich kłamstwo, przechodzą przez nie słowa wzniosłe, opowiadają one skromne historyę życia bez zarzutu. O czemuż nie ma cię tutaj? ileż to rzeczy powiedziałabym tobie jednej, ty tylko zrozumiećbyś je mogła inni mnie nie rozumią.

Zaczęła się rozbierać. Rozplotłszy włosy, spostrzegła, że w pokoju tuż przy niej jest ktoś, który rozumie wszystko, a któremu nic jeszcze nie powiedziała. Uklękła, a złożywszy ręce, podniosłszy oczy na srebrny krucyfiks, wyszeptała te słowa:

— Przebacz mi Panie, zapomniałam o Tobie, któryś nigdy o mnie nie zapomniał. Dzięki Ci, wysłuchałeś pragnienie moje, dałeś mi szczęście, o jakiem marzyłam, choć nie śmiałam prosić Cię o nie. O tak jestem szczęśliwa, zupełnie szczęśliwa! Przyrzekam Ci Boże, że radość moją dzielić będę z ubogimi i nieszczęśliwymi tego świata, będę ich jeszcze więcej kochać, niż dotąd kochałam. Karmiąc ich Tobie daje się pożywienie, gdy się ich obdarza kwiatami, cierniowa korona raniąca skroń Twoją, zakwita. Będę im dawała chleb i kwiaty. Nie jesteś zazdrosny Panie. Wiesz, że choć serce moje przepełnione, dla Ciebie zostało w niem miejsce, że nigdy nie zastukasz do drzwi moich, abym Ci zaraz odpowiedzieć nie mogła: Wejdź Panie, dom mój i wszystko, co się w nim mieści Twoją jest własnością; szczęście moje Cię wychwala, pobłogosław je Boże.

Podczas gdy panna Moriaz klęczała przed krucyfiksem, powóz unoszący Samuela toczył się po gładkiej szosie, wiodącej od Cormeilles do Argenteuil. Samuel siedział z podniesioną głową, oczy jego błyszczały, w skroniach szumiało, zdało mu się, iż mógłby świat cały w własnem łonie pomieścić. Mówił sam do siebie, powtarzając bez przerwy jedno zdanie: — Ona do mnie należy! Oznajmiał to przechodnim, drzewom nad drogą rosnącym, pagórkom i budynkom, których szare kontury rysowały się zdaleka. — Ona do mnie należy! mówił do płynącego po niebie księżyca, który tegoż wieczoru, dla niego tylko świecił. Widać było, że księżyc wiedział o wszystkiem, że wiedział, iż w krótce Antonina Moriaz zostanie żoną Samuela Brohl, i ciesząc się z tego przywdział godowe szaty, aby uczcić to dziwne zdarzenie; oblicze jego wyrażało współczucie i radość.

Choć woźnica popędzał konie, Samuel nie trafił już na pociąg odchodzący do Paryża. Postanowił więc zanocować w Argenteuil. Udawszy się do najbliższego hotelu, kazał sobie podać wazkę ponczu, który był jego ulubionym napojem. W nadziei, że sny jego będą pełne najpiękniejszych obrazów, położył się w łóżku, lecz przeczucie zawiodło go tym razem. Po jasnym i szczęśliwym dniu, noc bywa niekiedy chmurna i burzliwa, a hotel w Argenteuil miał Samuelowi pozostawić złowrogie wspomnienia.

Około godziny czwartej rano usłyszał stukanie do drzwi i głos, który mu nie był obcy, zawołał: —Otwórz mi! Ogarnął go przestrach niezrównany odejmujący wszelką władzę; zaledwie zdołał usiąść na posłaniu. Przypomniał sobie, że zasunął drzwi na zasuwkę i to go trochę uspokoiło. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że zasuwka zaczęła się cofać powoli. Drzwi się otwarły, ktoś wszedł do pokoju, zbliżył się zwolna do Samuela, odsunął firanki zawieszone nad łóżkiem i pochylił się nad nim, patrząc nań wielkiemi oczyma, które Brohl poznał natychmiast. Dziwne-to były oczy, pełne słodyczy a zarazem ognia, siły i skromności; niewinność dziecka, wielkość bohaterskiej duszy, wszystko to razem zmieszane było w tych oczach.

Samuel Brohl zadrżał. Chciał mówić, język wypowiedział mu posłuszeństwo. Czyniąc ostateczne wysiłki poruszył ustami i wreszcie wyszyptał:

— To ty Ablu? myślałem, żeś dawno już umarł.

Widocznie hr. Abel, prawdziwy Abel Laryński nie umarł, i teraz stał przy łóżku z szeroko otwartemi oczyma, nigdy tak zdrowo nie wyglądał. Zdawać się mogło, że pochowano go żywcem i że powstał z grobu unosząc z sobą kurz ziemi, bo włosy jego były jakby przysypane piaskiem, który opadał za poruszeniem się głowy. Wyraz twarzy nie miał w sobie nic przestraszającego; tylko uśmiech trochę ironiczny igrał na ustach jego.

Po długiem milczeniu rzekł:

— Tak to ja jestem. Nie spodziewałeś się mego przybycia?

— Czy ty naprawdę nie umarłeś? rzekł Samuel.

— Naprawdę, odparł potrząsając pył z głowy, a potem dodał: Czy ci przeszkadzam Samuelu Brohl, bo ty się nazywasz Samuel Brohl. To ładne imię. Czemu zabrałeś moje? Oddasz mi je.

— Nie dzisiaj, odparł Samuel stłumionym głosem, ani jutro, ani pojutrze, ale po moim ślubie.

Hr. Abel roześmiał się głośno, co dawniej nie było jego zwyczajem i co zadziwiło Samuela. Potem zawołał:

— Ona będzie moją żoną, będzie hrabiną Laryńską.

Nagle drzwi znów się otwarły, Antonina Moriaz weszła w stroju panny młodej, z koroną na głowie, bukietem w ręku. Zbliżyła się do Samuela, lecz Abel zatrzymał ją mówiąc:

— Nie, ty nie jego kochasz, tyś ukochała moją historyą. Czy nie wiesz że on jest fałszywym Polakiem? Ojciec jego był niemieckim żydem, który dzierżawił karczmę. W tej to karczmie wzrósł ten bohater. Opowiem pani wszystko...

Samuel położył mu rękę na ustach i jęknął:

— Oh! przez litość nie mów.

Ale Abel ciągnął dalej:

— Tak Samuel Brohl jest bohaterem. Przez pięć lat, był wyłączną własnością kobiety, która go kupiła. Czy chcesz teraz jeszcze nazywać się panią Brohl?

To mówiąc wyciągnął ramiona, a objąwszy kibić Antoniny całował jej czoło i koronę wieńczącą jej głowę. Samuel Brohl odzyskał siły. Wyskoczył z łóżka i z zaciśniętemi pięściami rzucił się ku Ablowi, aby wyrwać z rąk jego swą zdobycz. Nagle drgnął i zatrzymał się na miejscu. Do uszu jego doszedł szyderczy śmiech, pochodzący z przeciwnego kąta pokoju. Odwrócił głowę i ujrzał tam własnego ojca, w brudnej czapce, i poszarpanym hałacie. Tak-był to Jeremiasz Brohl. Widocznie wszyscy zmartwychpowstali tej nocy. Starzec śmiał się ciągle, wreszcie cierpkim i donośnym głosem zawołał:

— Schandbube! vermaledeiter Schlingel! ich will dich zu Brei schlagen! co znaczy: Ty nic potem, ty nic dobrego, zgniotę ja cię na massę.

Było-to zdanie słyszane często przez Samuela w jego dziecinnych latach; lecz mimo nawyknienia do gróźb ojcowskich, gdy spostrzegł że starzec podnosi nad jego głową kościstą dłoń, krzyknął przeraźliwie, cofnął się o kilka kroków, zawadził o stojący tuż przy nim stołek, potknął się i upadł uderzając się silnie.

Otworzył oczy, nie było już nikogo. Pobiegł do okna, aby otworzyć okiennice; poranne zorze oświeciły pokój bladym promieniem. Widzenie było tak dokładne, że Samuel Brohl potrzebował dość długiego czasu dla przekonania samego siebie, że zmora rozwiała się nareszcie, że widma są widmami tylko, i że cmentarze nie zwracają nigdy, co raz pochłoną. Gdy przeświadczenie to ustaliło się napowrót w umyśle Samuela, przemówił z ironią do tego, który mu się przed chwilą ukazał:

— Musisz pogodzić się z losem mój biedny Ablu, zobaczymy się na dolinie Jozafata, widziałem jak cię przysypywano ziemią, ty umarłeś ja żyję, ona do mnie należy.

Ubrawszy się spiesznie opuścił hotel, obiecując sobie nigdy więcej doń nie powrócić.

W tejże samej chwili pan Moriaz, który miał zwyczaj bardzo rano wstawać, pisał co następuje:

„Stało się kochana przyjaciołko, musiałem ustąpić. Nie wymawiaj mi słabości charakteru, cóż miałem czynić? Kiedy przez lat dwadzieścia, było się najpoddańszym ojcem trudno, wyzwolić się nagle. Nigdy nie stawiałem szańców, a tego rzemiosła próbować w moim wieku, to już zapóźno. Z resztą, któż wie, czy serce nie prowadzi ją prostą drogą, czy kiedyś nie zażartuje z nas wszystkich? Trzeba przyznać, że ten piękny człowiek ma pewien nieprzeparty urok. Dotąd spostrzegłem w nim jedną tylko wadę, to jest: że żyje, że istnieje. Ważne-to przewinienie, sam to przyznaję, ale po dziś dzień, nic więcej nie znalazłem do zarzucenia mu.

„Po przegranej bitwie trzeba myśléć o odwrocie; z żalem donoszę pani że hr. Laryński ma przy sobie wszystkie żądane dowody, metrykę, akt zejścia ojca i matki. Z tej strony niczego spodziewać się nie możemy i zaręczam, że mój przyszły zięć nie pozwoli mi nawet zyskiwać na czasie. Jedyny punkt, na który powinniśmy zwrócić całą naszą uwagę i przezorność jest: intercyza. Nie można dosyć zastanawiać się nad tem, trzeba związać mu ręce. Będę panią prosił, byś zechciała pomówić ze mną o tem, jako i z naszym wspólnym rejentem. Mam nadzieję że pod tym względem Antonina spuści się całkiem na nas.

„Nie jestem wesoły, kochana przyjaciółko, ale urodziwszy się filozofem, przyjmuję rzeczy tak, jak są, odczytując dzieło: „Koleje świata“, aby wpoić w siebie przekonanie, że jeśli na świecie nie jest zupełnie dobrze, to przynajmniej jest znośnie.“

Tego samego dnia wieczorem pan Moriaz otrzymał następującą odpowiedź:

„Nigdy panu tego nie przebaczę. Jesteś wielkim chemikiem, ale smutnym, opłakanym ojcem. To nie do darowania słabość, zasługująca na inną nazwę. Trzeba było walczyć do końca, Antonina nie byłaby się nigdy obeszła bez twego zezwolenia. Byłaby trochę popłakała, byłaby szukała sposobu zmiękczenia ojcowskiego serca, przybierając postawę zrozpaczonej wdowy, pokrywając się od głowy do stóp czarną krepą. A choć to trochę nudne, można się do tego przyzwyczaić. Filozofowie, którzy w gruncie rzeczy nie są niczem innem, jak tylko ludźmi obojętnymi, nie powinni się lękać kaprysów i czarnej sukni. A zresztą kolor czarny jest teraz bardzo w modzie.

„Co mi pan mówisz o intercyzie! Żartujesz chyba! Zaprowadzać ostrożności przeciw takiemu bohaterowi, przeciw najszlachetniejszemu z ludzi? są to słowa księdza Miollens, czyżbyś pan miał serce i odwagę? Na samą myśl podejrzenia rzuconego na jego bezinteresowność, pan Laryński oburzy się, jak się oburzał raz w moim salonie; jest to już jego sposób, a widać że jest nie zły, kiedy mu się tak udaje. Intercyza jest zbyteczną, niech się pobiorą, a Bóg czuwać będzie nad resztą. Szaleństwa wtedy tylko mają pewien urok, gdy są zupełne.

„Ah! mój ty poczciwy człowieku! Polska ma dla ciebie urok? Połknijże ją sobie ze wszystkiem. Uniżona sługa.“

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

WYKŁAD PUBLICZNY

o pierwotnym rozwoju chrystyanizmu,

miany przez **Ernesta Renan** w Londynie.

(Dokończenie).

Krzyż stawiony na Golgocie, i nowego rodzaju oświetlanie ogrodów cesarskich dokonane w 64 lat po ukrzyżowaniu Chrystusa, były temi podwalinami nowej religii, której, wedle przepowiedni, bramy piekielne nie przemogą.

Obok jednak usług pośrednich, cezarowie rzymscy oddali bezwiednie usługi i bezpośrednie, przyczyniając się wielce do utrzymania jedności w nowo wytworzonym kościele chrześciańskim. Dla zrozumienia tej okoliczności, trzeba opowiedziéć politykę Rzymu, względnie do innych wyznań ludów podbitych, i wynikłą z tego względu śmiertelną walkę z judaizmem.

Tak jak wszystkie religie pogańskie, tak i mitologia rzymska ujętą była symbolami i wogóle formami zewnętrznemi, nie zajmując się wcale duchową stroną człowieka. Wedle ówczesnych wyobrażeń, modlitwa oddziaływała mechanicznie, bez najmniejszego współ-udziału skruchy ze strony modlącego się. Wśród zgromadzonych bożków różnego rodzaju, rzeźbiony geniusz panującego cezara górował znaczeniem, jako wyobrażający przewagę państwową po nad wszelkiemi innego względami. Ojciec miał prawo życia i śmierci nad swemi dziećmi, skoro jednak syn jego zostawał urzędnikiem cesarskim, zniewolonym był życiodawca przy spotkaniu zdjąć czapkę i stać z uszanowaniem, dopóki jego potomek nie przejdzie lub nie przejedzie. W państwie, w którem wszystko opartem było na formie, poszanowanie wszelkich bez wyjątku wyznać było nieuniknione. Rzymianie tak dalece posuwali swoją względność, że bożków swoich mieszali z bożkami ludów podbitych, a szczególniej byli hojni w rozdawaniu geniuszów panującego cezara. Polityka ta długi czas nie znajdowała najmniejszego oporu, ale postać rzeczy uległa nagłej zmianie, skoro orły rzymskie zawisły nad murami Jerozolimy. Judaizm posuwał wyłączność do ostatnich granic, cześć oddawana Jehowie nie mogła uledz żadnemu ograniczeniu, wszelkie bożyszcza, a szczególniej też oddawanie czci religijnej istotom żyjącym, uważane było przez niego za dowód najgrubszego bałwochwalstwa. Uchwały senatu ubóstwiające panujących monarchów przejmowały zgrozą sumienia ludu Hebrajskiego. Starcie krwawe, w czasie mniej więcej oddalonym, było nieuniknione; przytem zachowanie się żydów mieszkających w Rzymie przyczyniło się wielce do oburzenia zwycięzcy nieznającego najmniejszej litości.

Żydzi zawitali po raz pierwszy do Rzymu w charakterze niewolników wojennych, po klęsce zadanej im przez Pompejusza. Później zjawili się dobrowolni przybysze, i ci wraz z wyzwolonymi niewolnikami zamieszkali odrębną część miasta, trudniąc się ciężkiemi rzemiosłami lub drobnym handlem ulicznym, będącym po większej części pokrywką żebractwa. Rzymianie patrzyli na nich z największą pogardą, każdy z poważnych mieszkańców uważałby za ubliżenie, ukazać się na ulicy przez nich zamieszkałej; sama policya unikała tej części miasta, jako słynnej z brudu i nieprzyjemnych wyziewów. Okazywany im wstręt, żydzi znosili cierpliwie i bez gniewu, mając w korzyści zupełną swobodę religijną. Synagoga rzymska nietylko zostawała w ciągłych stosunkach z synagogą jerozolimską, ale nadto szerzyła propagandę religijną w samym Rzymie. Jeden ze współczesnych pisarzy robi zarzut Rzymiankom z powodu zbytniej skłonności do wiary żydowskiej, a tem nazwiskiem zbiorowem obejmowano prawdopodobnie i nowo powstały chrystyanizm.

Judaizm stawiał zacięty opór polityce państwa rzymskiego, nietylko we własnem swojem ognisku, ale nadto chciał zawładnąć stolicą ówczesnego świata. W tym stanie rzeczy zniszczenie Jerozolimy wraz z jej świątynią było postanowione. Tytus jak zapewnia Tacyt, uważał za konieczne zniweczyć główne ognisko judaizmu i chrystyanizmu, aby tym sposobem zadać cios śmiertelny dwom sektom najzgubniejszym, zmierzającym do rozsadzenia społeczeństwa ludzkiego, omylił się nadzwyczajnie w swojem rozumowaniu i prawdopodobnie nigdyby nie uwierzył, aby judaizm nie stracił nic na swej potędze po zburzeniu Jerozolimy, i aby to zburzenie przyczyniło się wiele do przewagi i jedności Kościoła chrześciańskiego.

Po ukrzyżowaniu Chrystusa, zarysowały się dwa prądy w zapatrywaniu pozostałych uczniów i apostołów, dotyczące przedmiotu pierwszorzędnej wagi. Ś-ty Jakób i liczni jego zwolennicy nie chcieli zrywać z judaizmem, ale tylko zreformować go odpowiednio do ducha nowej nauki. Przeciwnie znów Ś-ty Paweł uważał wszelki stosunek z dawnym zakonem za ubliżenie dla Chrystusa. Pierwsi obstawali za utrzymaniem zewnętrznych oznak judaizmu; drudzy odrzucali takowo stanowczo. W pośrodku stał Ś-ty Piotr, wyobrażając Kościół rzymski. Zadany cios Jerozolimie, zburzenie jej świątyni zapewniło zwycięztwo wyobrażeniom Ś-go Pawła; dzięki Tytusowi Kościół chrześciański uniknął rozdwojenia niebezpieczego w swych następstwach od wszystkich późniejszych różnic dogmatycznych. Stolica dawnego świata pogańskiego miała stać się stolicą chrześciaństwa, a pyszny i zarozumiały Rzym, uważający siebie za ognisko wszelkiej wielkości w obec dziejów powszechnych, był niczem więcej, tylko pośrednikiem do upowszechnienia cywilizacyi greckiej i religii chrześciańskiej, powstałej z łona judaizmu.

Oto jest streszczony obraz pięciu nader długich wykładów, i nie mielibyśmy nic do nadmienienia przeciwko rozwiniętym pomysłom, gdyby szanowny uczony ograniczył się był jedynie na udzieleniu odpowiedzi na stawione pytanie. Na nieszczęście pan Renan lubi nadzwyczajnie popularność, chciałby mieć zwolenników we wszystkich obozach bez wyjątku.

Nie potrzeba wielkiej bystrości umysłu, aby dostrzedz w jego pracach szczególniej późniejszych zupełną zgodę z tradycyą Kościoła katolickiego. Okoliczność ta może go stawić w przykrem położeniu w obec słuchaczy, jako wyznawców Kościoła anglikańskiego, w obec wolnomyślnych, dla których był bożyszczem czas jakiś, a nareszcie w obec żydów, którzy jak to sam wyznaje, są coraz bardziej zwiększającą się potęgą. Stojąc więc na gruncie katolickim, czyni uboczne wycieczki w różnych kierunkach, aby podchlebić każdemu z wymienionych obozów. Dla Anglików rozbiera krytycznie znaną tradycyą o pobycie i męczeństwie Ś-go Piotra w Rzymie; dla wolnomyślnych oskarża religią chrześciańską o niweczenie w sercach ludzkich poczucia narodowości, Żydom nareszcie zapowiada przewagę nad całym światem, już nietylko pieniężną ale i moralną. Ernest Renan zanadto jest człowiekiem uczonym i niepospolitym pisarzem, aby nie widział błahości swoich zarzutów, ale niekiedy chęć usłyszenia oklasków góruje w nim po nad zamiłowaniem prawdy. Nie potrzeba wielkich wysileń dla wykazania bezzasadności przywiedzionych określeń.

Rozbierać krytycznie pierwotną tradycyą kościelną, jest to samo, co chcieć obliczyć wymiary gwiazdy stałej, znajdującej się w nieujętej przestrzeni drogi mlecznej.

W pierwszym i w drugim razie nie mając żadnych danych do rozumowania lub rachunku, zniewoleni jesteśmy wyznać naszą bezsilność.

W dowodzeniu, że religia chrześciańska jest nieprzyjaciółką narodowości i niweczy miłość ojczyzny ziemskiej.

Renan wspiera się na rozumowaniu, że religia chrześciańska odrywa człowieka od ziemi, którą uważa za miejsce wygnania, i jedynie tylko przyszłe życie wskazuje, jako godne naszych zabiegów.

Zasada powyższa usprawiedliwia Renana, ale tylko pozornie, ponieważ szczęście w przyszłem życiu jest podstawą wiary w osobistą nieśmiertelność duszy. W Chrystyanizmie dopiero jednostka człowieka zarysowała się w całej pełni, jako przeczenie twierdzeniu starożytnego świata, w którem powszechność górowała po nad wszystkiem. Judaizm nawet umiejący się wznieść do pojęcia jedności Boga, nie określił jasno osobistej nieśmiertelności duszy. Głównym celem jego usiłowań jest ziemia, chce on posiąść te ziemię w znaczeniu rzeczywistem i utwierdzić na niej panowanie sprawiedliwości i wiary w jednego Boga. W obec tej wielkiej dążności prawa jednostki odrębnej są bez znaczenia; pozbawiono ją woli, ujmując przepisami najdrobniejsze czynności całego jej żywota. W owych czasach była synagoga, zakon, świątynia, państwo, ale nie było narodowości w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu. Ustrój społeczny jest zawsze odpowiedni do panujących wyobrażeń religijnych; narodowość jako będąca wyrazem wspólnych wyobrażeń, myśli, uczuć i charakteru, nie mogła inaczej powstać, jak po wyzwoleniu jednostki, a dzieło to z wielką chwałą dla siebie spełnił Kościół chrześciański.

Nauka więc opowiadziana przez Chrystusa nietylko nie niweczy narodowości, ale jest jej źródłem, żaden naród po przyjęciu religii chrześciańskiej nie zginął z kuli ziemskiej, chociaż na kartach historyi napotykamy smutne świadectwa z jaką nieraz zaciętością zwycięzcy zmierzali do tego celu.

Prawodawca chrystyanizmu zwolnił jednostkę od niezliczonych formułek wytworzonych przez judaizm, odtąd weszła w grę wolna wola człowieka, jako konieczny warunek do moralnego udoskonalenia się, zapowiedziana jedność rodu ludzkiego będzie następstwem dobrowolnego przekonania, a nie siły i przemocy. W tym stanie rzeczy, na jakiej zasadzie Renan zapewnia Żydom ostateczne zwycięztwo, nie rozumiemy. Ustęp wykładu dotyczący tego przedmiotu jest ciemny i niejasny, i można zrozumieć jego znaczenie w takim tylko razie, jeżeli pamiętać będziemy o upodobaniu uczonego francuzkiego, do zyskiwania zwolenników w najrozmaitszych obozach religijnych i politycznych.

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum z I kwartału 1880 r. (Styczeń — Marzec).

(Dalszy ciąg).

Z artykuliku p. n. „Głosy prassy zagranicznej o piśmiennictwie naszem" dowiadujemy się, że Niemcy i Anglicy zaczynają już trochę więcej, niż dawniej zajmować się naszą literaturą. Ten zwrot datuje od czasu jubileuszu Kraszewskiego, gdy cudziemcy, jakby z podziwem i po raz pierwszy, dowiedzieli się o tem że i Polacy mają pisarzy i piśmiennictwo! Już sama osobistość czcigodnego jubilata i jego działalność obudziły powszechny interes Europy; tak więc Kraszewskiemu zawdzięczamy i to także, że dumne ze swego przodownictwa cywilizacyjnego społeczeństwa przestają nas ignorować i lekceważyć. A jedno i drugie przybierało w niedawnych czasach rozmiary prawdziwie zdumiewające: występowano np. publicznie ze zdaniem, że narodu polskiego nie masz wcale, jest zaś tylko szlachta polska (tak utrzymuje dziś jeszcze Katkow), że język polski jest niewyrobiony i być narzędziem nauk nie może, że Polacy nie mają literatury, a nawet (tak pisze jeden z podróżników francuzkich w świeżo wydanej książce), że naród polski wyznaje religią ormiańską. Pomijam już napotykane czasem w beletrystyce zagranicznej typy „feudalnej szlachty polskiej" i karykatury Sacher Masochów i Francozów. Zła wola ma w tem wszystkiem udział, ale niewiększy od nieznajomości. Ta ostatnia zaprawdę dziwną nam się wydaje, gdy wspomnimy, że jeszcze w wieku XVI nikt nie ośmieliłby się utrzymywać żadnego z owych pociesznych fałszów: tak np. słynny uczony Lipsius w swoich listach (przytoczonych niedawno w niemieckiem dziełku p. Lewenfelda o Kochanowskim) stanowczo stawia Polaków obok Francuzów i Niemców i powiada że cywilizacya i polor przeszły do tych narodów, a Włosi są w porównaniu z nimi barbarzyńcami. Czyż od trzech wieków istotnie upadliśmy tak głęboko i wszechstronnie, że już ludzie nawet zajmować się nami nie chcą?

W „kronice paryzkiej" zeszytu lutowego znajdujemy sporo wiadomości zajmujących. Jest tu np. sprawozdanie o najnowszych pracach znanego historyka Fustel de Coulanges, który podjął się sprostowania dotychczasowych naszych wyobrażeń o starożytnych Spartanach, szczególniej pod względem wspólnych biesiad i komunistycznych urządzeń własności. Z krótkiego wyciągu trudno osądzić dostateczność krytyki autora; wszelako zdaje się że uczony pisarz zbyt uniósł się pociągiem do zaprzeczania uznanym świadectwom historycznym i do wprowadzania nowości w poglądach. Mamy tu także wyjątki z wydanych świeżo pamiętników pani Rémusat o Napoleonie I, (znaczne wyciągi z tego dzieła ogłosił już przedtem Tygodnik Ilustrowany). Nakoniec interesujące są przytoczone w sprawozdaniu o wydaniu francuzkiem Schopenhauera niektóre myśli tego filozofa, tyczące się kobiet. Ponury i zwątpiały filozof posunął się do tak niesłychanego zuchwalstwa. że nietylko odmawia kobietom wyższego uzdolnienia, daru twórczości, krytycyzmu, nietylko piorunuje przeciwko wszechobecnym i potężnym, a zdaniem jego zgubnym wpływom płci pięknej, ale nawet powstaje przeciwko temu ostatniemu przymiotnikowi powszechnie i zgodnie nadawanemu kobietom od czasów Ewy. Oto są słowa tego nowożytnego barbarzyńca, które może będą ciekawe dla czytelniczek. „Inteligencya człowieka (mówi Schopenhauer), obłąkana miłością, musiała dziwnej uledz ślepocie, kiedy nazwała piękną płcią te istoty, małe, wązkie w ramionach, a szerokie w biodrach. Należało raczej nazwać je płcią nieestetyczną."

Zeszyty styczniowy i marcowy są pozbawione kroniki paryzkiej — jednej z celniejszych zwykle ozdób Biblioteki. Mamy natomiast w pierwszym kronikę poznańską, a w drugim — lwowską, przedstawiające objawy życia społecznego i literackiego w obu tych prowincyach, ale pod względem układu i stylu obie te kroniki nie mogą być porównane do kroniki paryzkiej.

Oto i wszystko co znajdujemy w trzech zeszytach Biblioteki Warszawskiej. O dziale krytycznym musimy powtórzyć raz jeszcze wyrażone powyżej ogólnikowo zdanie o niezupełności, braku proporcyi i słabem prowadzeniu tego działu.

Nakoniec, dla uzasadnienia wzmiankowanego również powyżej zarzutu, co do usterek językowych, przytaczam grubsze błędy, które dostrzegłem w rozmaitych artykułach, a które poprawić byłoby, jak mniemam, rzeczą redakcyi.

W zeszycie styczniowym: „krzyż *w jednym*, a miecz w *drugim ręku*" (str. 2; ma być: „w jednej —w drugiej ręce," bo *ręku*, *w ręku* to liczba *podwójna*, która z wyrazem *jeden* logicznie połączyć się nie da); „rygski" (str. 28; wpływ owych krztuszących nowości jak *pragski*, *suwałkski* i t. p.—po polsku ryzki, prazki); „po *Wezuw*" (str. 52 zam. Wezuwiusz); „ani Kraszewski, ani Dzieduszycki nie roszczą sobie prawa *do tytułu historycznych powieści* (str. 113 — nielogicznie, gdyż tytuł historycznej *powieści* nie mógłby nigdy przysługiwać samemu Kraszewskiemu ani Dzieduszyckiemu chyba tylko ich *dziełom*); „ucztę *jaką* wydaje" (tamże, zam. *którą*); „nad którą zapanować *więcej* nie umie" (tamże—galicyzm, zam. *już* nie umie); „Pomerania" (str. 143—ma być Pomorze); „posiedziciel (str. 153 —ma być posiadacz); interpret (str. 169 po polsku wykładacz).

W zeszycie lutowym znajdujemy (w kronice przyrodniczej) taki okres, którego budowy nie pojmie nawet czytelnik najbardziej obeznany z naukami przyrodniczemi: „otrzymany w ten sposób produkt jest tlenkiem norwegium. Rozpuszcza się go w wodzie królewskiej (mieszaninie kwasu solnego z saletrzanym) *i po strąceniu w obecności pewnéj części potażu i tym sposobem* otrzymuje się szmaragdowo zielony osad hydratu metalu norwegium" (str. 277).

W zeszycie marcowym: „*czego że* dokazać nie zdołał, zawerbował do siebie Klickiego i t. d " Marzec str. 350 — jest to zwrot łaciński po polsku: *ponieważ nie zdołał tego* dokazać i t. d.); gromażor (tamże—wyraz francuzki); „szersze swobody *jak* te które im było zapewnione" (str. 436 zam. *niż* lub *nad* te, albo *od* tych); „wykończa" (str. 518, słowo *dokonane* wykończyć czasu teraźn. nie ma—błąd w druku i mowie pospolity).

Nakoniec z tegoż zeszytu przytoczymy jeden okres z rozwlekłej i gadatliwej, miejscami mglistej i, jak na nasze pojmowanie, zbyt może głębokiej krytyki przekładu Medei p, Grabowskiego.

Krytyk (p. Jezierski) powiada np. „najpierwszą zaletę stanowi tu naprzód *wpatrzenie się* tłómacza *nietylko w myśl grecką*, ale, co jest conditio sine qua non, i *w elementa tej myśli*. Bez takiego bowiem *ujemnego* niejako warunku przekład prawdziwy jest niemożliwym. Drugim już dodatnim warunkiem jest głęboka znajomość mowy własnej, to jest odgadnięcie, gdzie w niej spoczywa *główne tętno na każdą myśl*, podsłuchanie owej *harmonia praestabilita* pomiędzy duszą i ciałem języka swojskiego" (str. 507).

Pomyłki autorów i błędy korekty, zwłaszcza w nazwiskach i wyrazach cudzoziemskich są bardzo częste, tak np. matka Aleksandra macedońskiego *Olympias* (albo *Olimpiada*, według 2 przyp. greck. Olympiados) nazwana *Olympią* (styczeń str. 52 i nast.); *Soulte* zamiast *Soult* (Marzec str. 350), *emulus* zam. *aemulus* (tamże str. 359); niezrozumiałe jest *votum* (?) *atque stabile* (Marzec str. 429 może *validum*?).

Dalsze i bardziej drobiazgowe rozpatrzenie się pomnożyłoby znacznie ten wykaz, i tak już dosyć pokaźny.

Księżniczka z Minterberga, powieść historyczna z XIV wieku, przez *Walerego Przyborowskiego*. Lwów 1880 r.

Gdy skrzętnie przez lat wiele zbierane materyały historyczne, odnoszące się do przeszłości naszego kraju, w ostnich czasach zaczęto opracowywać krytycznie; gdy w ostatnich czasach ukazało się kilka prac niepospolitej wartości, mianowicie w księgarniach krakowskich i lwowskich, a w części i warszawskich, pojawiać się zaczęły u nas powieści historyczne; osnute na wypadkach lepiej, a przynajmniej w odmiennym świetle przedstawionych, niżeli to dawniej być mogło.

Jeżeli się nie mylimy, to w literaturze naszej od początku bieżącego stulecia już po raz trzeci zwrot ten postrzegać się daje. Za przewodem mistrza naszego, czcigodnego jubilata, wystąpiło i występuje wielu młodych autorów z utworami powieściowemi, osnutemi na tle dziejów naszych.

Do liczby ich należy p. Walery Przyborowski, pisarz niezwykłych zdolności, obdarzony bujną wyobraźnią, niewyczerpany w intuicyi, dzielnie władający piórem, obeznany wybornie z architektoniką powieściową, jednem słowem mający wszelkie kwalifikacye na powieściopisarza. Jaką mają wartość wydane przezeń do tej chwili utwory, jakie mają dodatnie i ujemne strony, w jaki sposób potęguje się twórczość autora, dość jednostronnie ocenili już krytycy nasi z urzędu. A może wreszcie i nie czas na wypowiedzenie bezwzględnego zdania o talencie autora. My też obecnie dajemy tylko krótkie sprawozdanie o zatytułowanej w nagłówku pracy pana Przyborowskiego.

Treścią powieści tej jest szalona zazdrość i będąca jej skutkiem zemsta Ziemowita księcia Mazowieckiego, przezwanego starym, który będąc już w podeszłym wieku, ożenił się po raz drugi, wszedłszy w związki małżeńskie z młodziutką i piękną księżniczką z Minsterberga. Oszukany pozorami, a bardziej jeszcze ulegając szatańskim podszeptom i intrygom krzyżaka bawiącego na jego dworze, kazał żonę uwięzić, a następnie udusić wraz z nowo narodzonem dzieckiem, a mniemanego jej uwodziciela ścigać wszędzie, aby na nim wywrzeć całą swoją zemstę. Osobliwszym zbiegiem okoliczności dziecko uratowane zostało przez starą Małgorzatę, niegdyś kochankę Ziemowita, lecz nieszczęśliwy ów rycerz, jako zbrodniarz ścigany, w końcu złapany, bez żadnego sądu na rozszarpanie końmi skazany został. Po dokonaniu dopiero tego barbarzyńskiego czynu, okazało się, że uduszona księżna ani na chwilę nie zboczyła z drogi obowiązku, bo ukochanym jej rycerzem, a tak srogo ukaranym nie był mężczyzna, ale kobieta przebrana, córka samego Ziemowita i Małgorzaty. Z epilogu dowiaduje się czytelnik, że uratowanego syna, zgnębiony zgryzotami sumienia Ziemowit, znalazł w lat kilka w Gdańsku u swojej siostry.

Z samej treści tej łatwo się domyśléć, że nie zbywało tu na więzieniach, torturach, mordach i pożogach, że uwydatnić się musiały charaktery brutalne, dzikie i wstrętne, że wreszcie groza i tragiczne efekta szerokie znalazły zastosowanie.

Czy przedstawione w powieści fakty i ich szczegóły są oparte na kronikach lub legendowem podaniu, czy też są wytworem bujnej fantazyi autora, powiedzieć trudno, zwłaszcza że autor nigdzie nie cytuje zkąd je zaczerpnął. Poetyczne opisy natury, mogące być ozdobą każdej nietylko historycznej powieści, i śmiało, prawie zuchwale naszkicowane charaktery osób wprowadzonych do powieści, świadczą głośno o niezaprzeczonym talencie autora. Nie możemy tego powiedzieć o barwie i języku, którym się autor tu posługuje, bo często używane: *zawżdy*, *jeno a no*, lub tym podobne przestarzałe wyrazy i wyrażenia nie mogą jeszcze stanowić tła historycznego danej epoki, i zarówno przysługiwać mogą 14 jak i 17 wiekowi.

Okropności wszelkiego rodzaju i nie w porę użyte archaizmy, to słaba strona utworów pana P., uważamy je przecież jako przechodnie, mając nadzieję, że przy dalszych studyach historycznych, talent jego wszechstronniej się rozwinie i pozbędzie dotychczasowej manierowości.

J. Pracki.

Z kraju i z zagranicy.

— Straszne klęski pożarów mnożą się w przerażający sposób, miasta obracają się w perzynę, setki, tysiące rodzin pozbawione całego mienia tułają się bez dachu i schronienia, a co najsmutniejsza że wszystkie te niemal pożary są wynikiem podpalenia, do którego pobudką bywa niecna chęć kradzieży i rabunku a niekiedy zemsta. Niestety! coraz widoczniejszym się staje upadek moralności w niższych sferach społecznych, od czasu rozszerzania się indyferentyzmu religijnego i bezwyznaniowości. Zamiast, jak to jeszcze nie tak dawno bywało, starać się zapewnić sobie byt i dorobić niezależności a nawet dostatku, wytrwałą, uczciwą pracą, opanowała wszystkich niepohamowana żądza użycia i prędkiego wzbogacenia się, a jakże to liczne szeregi sprowadza ona na bezdroże przestępstw i zbrodni. Miejsce zasad moralnych zastąpiło *filozofowanie*, mocą którego każdy środek jest dobrym byle prowadził do celu; podawane niemal codziennie w pismach opisy najwstrętniejszych, z szatańskim rozmysłem i przezornością dokonanych zbrodni, ucząc i oswajają z niemi ogół a szczególniej ludzi słabego umysłu, pozbawionych gruntownych zasad religijno-moralnych, jedynie zdolnych do wyrobienia w nich siły charakteru, potrzebnej do oparcia się pokusom, namowom złych, a często podszeptom potrzeby i nędzy. Tacy ludzie uwierzą, lub choćby wmówią w siebie z łatwością, że potrzeba upoważnia do wszystkiego. I oto powstają coraz liczniejsze zastępy złodziei, rabusiów, podpalaczy i morderców. Pod groźbą pożarów mogących w jednej chwili pozbawić ich mienia i chudoby, obywatele wielu miast zawiązali ochotnicze straże ogniowe, w innych postanowili czuwać osobiście nad bezpieczeństwem zamieszkiwanych miejscowości, i w tym celu kolejno odbywają straż we dnie i w nocy.

Czyż nie należałoby tej rozumnej ich troskliwości o dobro materyalne, zastosować do zabezpieczenia moralnego? Któż nie przyzna że obowiązkiem jest każdego w miarę możności wpływać na moralny stan społeczeństwa, odwracać i nie dopuszczać złego, dobre sprowadzać, uzasadniać i rozkrzewiać? Zapewnie że usiłowania pojedyńczych jednostek nie zdołają postawić dostatecznej zapory przeciw coraz więcej szerzącemu się zepsuciu, skoro więc niebezpieczeństwo staje się coraz groźniejszem i potrzeba ratunku coraz gwałtowniej uczuć się daje, niech więc całe społeczeństwo wystąpi do walki w obronie nieocenionego ogólnego skarbu jakim jest moralność. Powtórzymy tu słowa sprawozdawcy „Biesiady Literackiej.“ „Mamy domowe ognisko rodzinne, najbliższe kółka familijne, przyjaciół, znajomych... wpływy więc dość rozległe, aby się z nimi rachować. Na tem to właśnie, choć pozornie szczupłem polu, wiele jest do zrobienia dla jednostek rozumnych i uczciwych. Niezaprzeczenie złe rozkrzewia się coraz więcej, ale zbrodnia nie bywa nigdy objawem nieprzygotowanym i oderwanym,—zostaje zawsze w związku ze stanem ogólnej moralności. Gdyby nie było marnotrawców, zbytkujących i płochych utracyuszów, nie byłoby biedaków chciwych bogactwa i zbytku za jakąbądź cenę, choćby je zbrodnią okupić trzeba. Błędy rodzą występki, wszystko to oczka jednej sieci. Nikt nie może powiedzieć, iż nie jest winien spełnionej przez kogoś zbrodni, jeźli się w czemśkolwiek przyczynił do szerzenia niemoralności. Niteczki łączące z sobą różne czyny i różnych ludzi, są bardzo subtelne i tajemnicze, ale istnieją niezaprzeczenie. Ileż to razy słowa wypowiedziane nierozmyślnie, jakiś czyn spełniony bez zastanowienia, popchną kogoś do zbrodni wiodącej na rusztowanie!

Ogólny zbytek życie nad stan, lekceważenie zobowiązań i obowiązków, próżność, gorączka zbogacenia się i używania — oto główne przyczyny złego, ale są i inne, które choć nie popychają wprost do występku, lecz usposabiają doń zwolna, obniżając poziom moralny.“

Do takich powolnie działających trucizn, zaliczyć trzeba niezaprzeczenie niemoralne książki i cyniczne romanse jakich u nas tłomaczy się i rozpowszechnia tak wiele, oraz skandaliczne widowiska i przedstawienia teatralne. Można mieć nadzieję że tym ostatnim przynajmniej na scenach teatrów rządowych, dzisiejsza Dyrekcya położy koniec.

Co do pożarów, powinnoby zapobiedz im skutecznie zaprowadzone obecnie w prawodawstwie obostrzenie kary na podpalaczy, skazujące ich na śmierć przez powieszenie. Surowość ta jest uzasadnioną i najzupełniej usprawiedliwioną; trzebaby tylko aby prawo to ogłoszone było we wszystkich gminach; a groza i przerażenie w obec oczekującego stryczka i szubienicy, nie jednego powstrzyma od zbrodni, tysiące ludzi ocali od nieszczęść, kalectwa i nędzy, a dziesiątki od śmierci w płomieniach.

— We wsi Barcikowie, guberni Płockiej, w powiecie Płońskim, włościanie tameczni zawarli dobrowolną ugodę z właścicielem tejże wsi, p. Adamem Mieczyńskim, o zniesienie służebności pastwiskowych. Jak donosi „Zorza“, na pamiątkę tego uroczystego aktu, postanowiono wznieść pomnik z granitu wykopanego na miejscowym gruncie. Pomnik ma być wykuty w kształcie serca, a poniżej jego środka, pod wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, umieszczony zostanie napis: „Na pamiątkę dobrowolnej seperacyi, w serdecznej zgodzie z dziedzicem, pomnik ten postawili włościanie.“ Poniżej podpisy. — Gdybyż więcej przykładów takiej zgody i jedności!

— Znany miłośnik rzeczy ojczystych i badacz przeszłości, pan Zygmunt Gloger, zwrócił uwagę na głębie rzek i jezior znajdujących się w pobliżu starych zamków i horodyszcz, w których mogłyby przechowywać się zatopione przypadkiem lub umyślnie, zabytki z dawnych czasów. Przedsięwzięte przez niego w tym celu poszukiwania w starem korycie Narwi, przy wyspie na której w Tykocinie wznosił się niegdyś zamek Zygmunta Augusta, słynny z licznych zapasów wojennych, pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem. Kilku dzielnych pływaków, mieszczan z Tykocina i Wiżny, bez żadnych przyrządów zapuścili się nurka i wydobyli z głębi rzeki sto kilkadziesiąt ciężkich pocisków kamiennych, czyli bomb, które w XVI wieku przy szturmach do warowni lub dla rozbicia murów, wyrzucane były prochem z żelaznych moździeży, zwanych bombardami lub babami. Tak np. w ówczesnym spisie broni zamku rzeżyckiego w Inflantach polskich wymieniona jest „baba żelazna;“ inne znów lustracye wymieniają rzemieślników utrzymywanych do wy-

rabiania kul kamiennych. Jest wzmianka w dziejach że Tykocin był twierdzą zaopatrzoną w jeden z najbogatszych arsenałów, z którego wzięto w r. 1610 wielkie działa potrzebne do rozbicia murów Smoleńska. W pięknem Muzeum Ossolińskich we Lwowie, znajduje się moździeż żelazny, służący niegdyś do wyrzucania kul kamiennych. Moździeże takie, przymocowane były na łożach drewnianych obręczami i wożono na wozach wojennych, ponieważ nie znano wówczas artyleryi konnej. Ileż to ich może pochłonęła Narew i głębokie bagna rozlegające się w około zamku tykocińskiego? Zdaje się nie ulega wątpliwości że pociski których piramidami obecny właściciel ozdobił ogród swój w Jeżowie, musiały być zatopione umyślnie i jednorazowo, bo je w jednem znaleziono miejscu. Są to kule kamienne, podwójnego kalibru, doskonale okrągłe, więcej daleko jest mniejszych i te mają $9^1/_2$ cala średnicy, i ważą 40 do 42 funtów; większe $14^1/_2$ cali średnicy, a wagi 140 funtów. Na niektórych mniejszego kalibru, znajdują się różne charakterystyczne znaki i godła. Wszystkie starodawne zabytki przeszłości, wyrabiano z szarego granitu skandynawskiego, licznie rozruconego na polach w okolicach Tykocina.

Ileż to jeszcze skarbów i zabytków przeszłości kryje się w głębi fal i w łonie ziemi naszej!

— Pan Karol Schlenkier, właściciel wielkiego zakładu garbarskiego przy ulicy Leszno, dał godny naśladowania przykład gorliwości obywatelskiej i przywiązania do kraju, starając się o największe dla niego dobro—szerzenie oświaty między maluczkimi. Postarał się i uzyskał pozwolenie władzy na założenie i utrzymywanie własnym kosztem szkoły elementarnej.

Wpis uczniów w tym zakładzie rozpocznie się w połowie bieżącego miesiąca. Szkoła mieści się w pobliżu zakładów pana Schlenkiera, przy ulicy Leszno № 76 i jest już zupełnie urządzona. Wstęp do szkoły nie jest dostępny wyłącznie dla ludności roboczej z zakładów założyciela lub innych w tej okolicy, każdemu wolno będzie z niej korzystać. Program tej szkoły odpowiada zakresowi dwuklasowych szkół rządowych miejskich. Zadaniem jej jest oby uczniowie tyle nauczyli się przez lat trzy, aby w 12 lub 13 roku życia mogli wstąpić do terminu dla nauczenia się jakiegoś rzemiosła, lub też do fabryk dla zarobku i kształcenia się w zawodzie przemysłowym. Dla ułatwienia ubogiej ludności posyłania dzieci do tej szkoły, oznaczono bardzo nizką opłatę, którą można będzie uiszczać w ratach miesięcznych po 50 kopiejek. Pan Schlenkier nie szczędził znacznego nakładu, byle zapewnić szkole rozwój odpowiadający zacnym jego zamiarom; tymczasowo na jej utrzymanie przeznaczył rocznie 3,000 rs., kierunek szkoły powierzony jest doświadczonemu pedagogowi, p. Ludwikowi Wasilkowskiemu, który wysłużywszy 35 lat w zawodzie nauczycielskim w szkołach rządowych, przybył z Piotrkowa do Warszawy, by czerstwe jeszcze siły poświęcić pożytecznej pracy elementarnego nauczania. Oprócz głównego kierownika i inne osoby powołane będą do wykładu; jeźli zgłosi się odpowiednia liczba dostatecznie przygotowanych uczniów, zaraz otwarte zostaną dwa oddziały. Od pragnących być przyjętemi do tej szkoły, wymagana jest znajomość zasad religii i poprawne czytanie.

Gdybyż to inni przemysłowcy, którzy wielkich już dorobili się majątków, chcieli naśladować piękny przykład pana Schlenkiera, który szlachetnem tem postąpieniem pozyskał sobie niezaprzeczone prawo do uznania i wdzięczności ogółu.

— D. 21 z. m. rozpoczął się w Drohobyczu (w Galicyi) zjazd pedagogiczny, na który przybyło wielu bardzo uczestników, a 200 z samego Lwowa. Członkowie Głównego Zarządu Towarzystwa, którym przewodniczył prezes i poseł do sejmu, p. Sawczyński, oraz liczny poczet gości, zostali powitani przez reprezentacyę miejską, z muzyką; burmistrz przemówił w serdecznych słowach. Ponieważ w mieście nie było dość obszernej sali, zbudowano ozdobny dom drewniany na placu przy ulicy Stryjskiej, a na otaczającym go placu założono ogród pod nazwą „Ogrodu Kraszewskiego.“ U wejścia wznosiła się brama tryumfalna, z napisem „Witajcie!“ a sala przybrana została w festony i chorągwie. O 8-ej rano odbyło się nabożeństwo. a o 9-ej rozpoczęto obrady. Po załatwieniu wyborów nastąpił odczyt panny Adeli Monsenówny, nauczycielki z Bolechowa, która przedstawiła zgromadzeniu statut „Towarzystwa przyjaciół dzieci“ od roku już istniejącego w Bolechewie, którego głównem zadaniem jest wspieranie ubogiej uczącej się młodzieży szkolnej. Towarzystwo to liczy 74 członków, a przez pierwsze półrocze zebrało 198 złr. Panie należące do Towarzystwa, zajmują się szyciem odzieży dla ubogiej dziatwy, a zebrane składki umożliwiają ubogim uczęszczanie do szkoły. Podziękowano prelegentce za inicyatywę w tej szlachetnej sprawie i uchwalono popierać usilnie zakładanie gdzie tylko można podobnych Towarzystw.

Na drugi dzień rozprawiano o wydawaniu broszur ludowych staraniem Towarzystwa pedagogicznego, zastosowanych głównie do materyalnych i umysłowych potrzeb ludu i wyznaczono komissyę, której polecono wygotować odpowiednie wnioski i na ich podstawie porozumieć się z Towarzystwami zajmującemi się podobnemi wydawnictwami.

Wice-prezes zgromadzenia p. Gerstman, przemawiał w sprawie zakładania szkół przemysłowych w znaczniejszch miastach Galicyi. Po rozprawach wniosek ten przyjęto. W końcu posiedzenia przyjęto bez rozpraw rezolucyę w sprawie zakładania kolonii wakacyjnych, i przyjęto wniosek tej treści: „Wzywa się Zarząd Główny Towarz. Pedagogicznego i Zarząd Oddziałowy w Krakowie, aby się zajęły zakładaniem kolonij wakacyjnych dla dzieci słabowitych w celu poratowania ich zdrowia przez pobyt kilko tygodniowy na wsi.“

Inne obrady mniej były zajmujące dla ogółu. W końcu prezes p. Sawczyński zawiadomił, że prezydent miasta Krakowa, dr. Zyblikiewicz, upoważnił go do zaproszenia uczestników, aby w roku p. odbyli posiedzenie w Krakowie. Zgromadzeni przyjęli zaproszenie i uchwalono przesłać telegramem podziękowanie prezydentowi Krakowa.

— Sprawozdanie zarządu missyi chińskich, obejmuje ciekawe szczegóły o kobiecych klasztorach katolickich w Chinach. Jeszcze przed przybyciem do Chin zakonnic, towarzystwa missyjne pozakładały kilka zgromadzeń klasztornych miejscowych dziewic, które zajęły się kierownictwem szkół żeńskich, i z tych niektóre po dziś dzień istnieją. Z zakonnic, europejskich najpierw osiedliły się w Chinach Wincencyanki, sprowadzone do Makao w zeszłem stuleciu przez Lazarystów, i dotąd utrzymują one tam szkołę dla dziewcząt a od roku 1846 założyły jeszcze w Ningpo szpital, aptekę dla biednych, zakład sierot i pensyę dla dziewcząt chrześcianek, zarówno europejskiego i chińskiego pochodzenia. Oprócz tego zakonnice te utrzymują w Tinghaju, na wyspach Czuzańskich wielki zakład sierot otworzony w r. 1869, w którym wychowują 50 dzieci dorosłejszych i 200 niemowląt; w Hangczeju, stolicy prowincyi Cze-Kiang, szpital i zakład sierot; w Szanghaju wielki szpital, w Pekinie przytulisko dla 300 dzieci i szpital, w Tientczynie szpital i zakład dla sierot. — Po Wincencyankach przybyły do Chin z Chartres, Siostry Ś-go Pawła, których nowicyat znajduje się w Makao. Zakon ten posiada obecnie w Honkongu wielki zakład dla sierot, oraz osady w różnych okolicach Azyi wschodniej, w Tientczynie szpital i przytulisko, a od paru lat zakłady w Saigonie, w Kochinchinie i w Nangasaki, w Japonii.— Włoszka, hrabina Canosa założyła zgromadzenie „Córek miłości chrześciańskiej,“ które od nazwiska założycielki nazywają także *kanosankami*. Utrzymują one wielką szkołę dla dziewcząt angielskich i portugalskich, zakład dla podrzutków, zakład dla ociemniałych, przytulisko dla obarczonych wiekiem robotnic, i dwa przytuliska dla sierot, pod kierunkiem i nadzorem 28 zakonnic. Klasztor ten liczy 274 nowicyuszek i oprócz zakładów utrzymuje 82 niemowląt. W zgromadzeniach kanosanek osiadłych w Wenchaju, Macao, Amoy i Iczangu, znajduje się obecnie 10 Chinek. Oprócz wymienionych klasztorów, istnieje jeszcze w Chinach kilka innych kongregacyj żeńskich, z kilkudziesięciu osadami pod Szanghai i w okolicznych prowincyach. Wszystkie te zakony utrzymują szkoły dla dziewcząt, domy podrzutków, przytuliska i szpitale. Klimat jednak miejscowy bardzo im nie służy i liczne zabiera ofiary, a w ubiegłych latach często wystawione były na niechęć i prześladowanie krajowców, co jednak nie zdołało odwieść zakonnic od spełniania wzniosłego swego posłannictwa.

— Dnia 14 b. m. ma się odbyć w Bruxelli kongres międzynarodowy przeciw pijaństwu. Oprócz innych zajęć i rozpraw, kongres ten ma rozbierać wpływ alkoholu na organizm ludzki i starać się będzie zebrać dane statystyczne odnoszące się do konsumcyi napoi wyskokowych w całym świecie, a nadto oznaczyć przymioty alkoholu i ilość jego zawartą w rozmaitych napojach. Gdybyż prace tego kongresu mogły oddziałać choćby na zmniejszenie jeśli już nie wykorzenienie strasznego tego nałogu, tak przerażająco rozszerzającego się we wszystkich sferach społecznych!

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 6 Августа 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux,

przekład

K. P.

(Dokończenie).

To późne przebudzenie się hrabiny, poprzedzające sen wieczny, oddziałało także zbawiennie na stosunek jej z panem de Madiran. Zrozumiała teraz i umiała ocenić jego przyjaźń i delikatność, i wynagrodziła je niespodziewanem zwierzeniem. Oczyszczona w Sakramencie Pokuty, hrabina uczuła w sercu jakieś szlachetne popędy.

Był to śnieżny zimowy poranek; zziębłe ogrodowe ptaszęta uderzały o szyby, chroniąc się przed płachtami śniegu. Emelina nasypała rozkruszonej bułki na gzyms okna, ale zmarzły i biedne ptaszki udziobać ich nie mogły.

Pan de Madiran siedział przy łóżku chorej, która zamyślona patrzyła na ptaki.

— Mój przyjacielu, rzekła nagle, jakże to ciężką porę przebywają te biedne ptaszęta które teraz codziennej potrzebują opieki; cierpią brak wszystkiego i wiele z nich może nie dożyje do końca zimy i wiosny lecz za to jakaż to radość i uciecha gdy nadejdzie wiosna... ulepią gniazdka i zapomną o przebytych cierpieniach aby myśleć tylko o miłości, o swoich pisklętach i jasnem słońcu.

— Kochana hrabino, mówiąc o ptaszętach malujesz obraz życia.

— Bo przypominają mi nasze losy i dolę Emeliny... Biedna ona!... jej zima trwa tak długo... nieprzerwanie... Jakaż czeka ją wiosna... i czy ją czeka?...

— Od pani zależy jej szczęście... staraj się odzyskać zdrowie, niczego ona nie pragnie goręcej.

— Już zapóźno, kochany przyjacielu; smutek rozlany w twej twarzy zdradza iż nie wątpisz o tem... a i ja czuję że życie uchodzi...

— Nie myśl o tem, kochana hrabino...

— Stało się; nie umiałam oswoić się z myślą o jesieni życia; a dziś już nie obawiam się śmierci... wyglądałabym jej z upragnieniem, gdyby mi nie chodziło o córkę której nie umiałam kochać, a dziś nie w mojej już mocy zapewnić jej szczęście... Ale ufam, że ty, przyjacielu, jej nie opuścisz.

— Nigdy, i dziękuje ci pani za to zaufanie we mnie.

— Będziesz dla niej ojcem... ale kiedyś pójdzie za mąż—a czyż wiem komu odda rękę i całą powierzy przyszłość?... Myślałam... ale to mrzonka skoro oboje prawie się nie znają.. a moje samolubstwo systematycznie oddalało ich od siebie... Jakże niewdzięczną okazałam się dla mego zbawcy!... a jednak dziś jakże pragnęłam..

— Ach! jakże chciwie słucham słów twoich, hrabino, bo w nich widzę jakby przez mgłę odbicie najdroższych życzeń moich!

— A!... więc odgadłeś... tak, przyjacielu... myślałam o panu Robercie.

— Ach! dzięki niebu... pierwsza wymówiłaś jego imie.

— Bo nie wiedząc... nie możesz pojąć..

— Wiem o tem, odrzekł starzec.

Cezaryna uniosła lekko głowę; radość zabłysła w jej przygasłych oczach; i rzekła słabnącym głosem:

— Wiesz więc jak byłam próżna i zalotna, pragnąca hołdów i uwielbień; jednak miałam znów tyle uczciwości iż nie chciałam wyzyskiwać uczuć tych co zdolni byli kochać prawdziwie — do takich należał pan Robert, zacny i szlachetny, godzien czystej, prawdziwej miłości. Wiedziałam że odemnie zależy zostać jego żoną, ale nie chciałam narażać go na zawarcie związku tak niestosownego pod względem wieku; co do niego tem jedynie zawiniłam iż zamiast objawić mu szczerze powód odmowy, odmówiłam zimno jak pierwszemu lepszemu pretendentowi... Później, gdy ocalił mi życie, zaślepiona próżnością, nie podziękowałam mu nawet, aby mnie nie zobaczył tak strasznie zmienioną... Jakaż to grzeszna słabość i jak szczerze dziś tego żałuję... złe było moje próżne życie bez celu, ale straszną odbyłam też pokutę... Bóg łaskaw że mnie jeszcze w tem życiu spotkała zasłużona kara... oto teraz gdy przejrzałam, gdy na sprawy tego świata z innej zapatruję się strony i z całej duszy pragnęłabym wyciągnąć do niego rękę, aby mu podziękować i pobłogosławić że ocalając życie pozwolił mi pojednać się z Bogiem i o ile to w mocy mojej wynagrodzić dawne błędy, nie ma go... jest gdzieś daleko, nie może widzieć mego żalu ani usłyszeć z ust mo-ich ostatniego życzenia umierającej, aby Emelina spłaciła dług wdzięczności jaki względem niego zaciągnęłam...

— Tem jednem słowem okupujesz stokrotnie co względem niego zawinić mogłaś.

— Lecz czy będzie ją kochał?... ach! gdyby to być mogło!...

— Bądź spokojna, droga przyjaciółko... Robert kocha Emelinę.

Cezaryna opuściła głowę na poduszki, słaby uśmiech pojawił się na jej ustach, promykiem szczęścia rozjaśniając twarz bladą.

— O! powtórz mi to!... powtórz... wyszeptała

— Jak tylko Robert poznał w Accroches kochaną naszą Emelinę...

— Biedna! jakże długo była tam jakby na wygnaniu!..

— ...Uczuł od pierwszej chwili że ją pokocha na całe życie.

— Ale gdy tu przybyła?

— Tu, hrabino, dom twój dla niego jednego został zamknięty, co dało mu boleśnie uczuć otchłań jaka wytworzyła się między nimi — powinien był odjechać—jednak nie uczynił tego,.. zatrzymała go wiotka postać dziewczęcia przesuwająca się po cienistych szpalerach pałacowego waszego ogrodu.

— A na balu...

— Ach! jedyna też to wina jego, że przyszedł niezaproszony, aby osłonięty dominem mógł popatrzéć z blizka na ukochaną... Poznałem go, i posłuszny zaraz się oddalił.

— A Emelina?

— Nic o tem nie wiedziała; Robert nie dał jej się poznać.

— Ależ gdy ogień wybuchnął...

— Zaledwie powróciwszy do siebie, zobaczył go ze swoich okien i bez wahania wbiegł do ogrodu przeskoczywszy mur...

— Aby mnie ocalić.

— Dopókąd groziło pani niebezpieczeństwo, co dziennie przychodził się dowiadywać o twoje zdrowie, i codziennie Emelina dziękowała mu za ocalenie matki.

— Kochanę dziecię!

— Gdy odzyskawszy zdrowie postanowiłaś pani nieodwołalnie żyć w najzupełniejszem odosobnieniu i ja i Emelina, nie porozumiewając się z sobą powodowani jedynie uczuciem delikatności, prosiliśmy Roberta aby opuścił dom przyległy i nie opierał sie naszym naleganiom.

— Jakże Bóg jest dobry!... Więc sądzisz, przyjacielu, że Emelina...

— Oto właśnie wchodzi;—zapytaj jej samej, kochana hrabino.

Emelina weszła niosąc w ręku flaszeczkę z lekarstwem; oczy jej błyszczały wewnętrznem zadowolnieniem; tym niebiańskim odbłyskiem jaki czystość duszy i spokój sumienia rozlewa na twarzy.

Nie domyślała się nawet owej rozmowy odnoszącej się do jej przyszłości, o tem tylko myśląc aby mogła ulżyć cierpieniom ukochanej chorej.

Cezaryna czuła się więcej osłabioną; rozmowa ta i nieodłączne od niej wzruszenie wyczerpały wątłe jej siły; ciężar przygniatał piersi, ciężki i trudny oddech utrudniał mowę.

— Emelino... dziecię moje... przysuń się do mnie... bliżej... bliżej... otwórz mi twoje serce... trzeba...

— Trzeba przedewszystkiem nie męczyć się kochana matko. Widzę mówiłaś za wiele... pot występuje ci na czoło... Kochany panie, nie jesteś dobrą *garde-malade*.

Mówiła to z uśmiechem aby nie niepokoić matki, ale w gruncie nadzwyczaj była przerażoną, widząc siną bladość jej twarzy i coraz słabszy oddech; zdawało się że życie, już tylko w oczach się objawiało. Wyraźnie oczy te jakby przemówić chciały, lecz pomimo natężenia wzroku, Emelina nie mogła zrozumieć myśli umierającej matki. Wtem nagle chora zdołała wymówić: „Robert."

Pierwszy to raz z ust matki usłyszała to imię; Zdziwiona niewymownie, pochyliła się ku niej aby się przekonać czy to nie złudzenie słuchu.

Gdy hrabina uczuła że głowa córki prawie dotyka jej twarzy, oczy wpatrują się w nią z tkliwym niepokojem żywe uczucie wdzięczności i gorąca żądza wynagrodzenia dawnej obojętności zapanowały chwilowo nad coraz wzmagającem się osłabieniem, i zawołała z głębokiem uczuciem:

— Obojgu wam zawdzięczam ocalenie... on ocalił ciało moje a ty duszę... Bądźcie szczęśliwi... zostań jego żoną . pragnę tego... i błogosławię wam...

Wyciągnęła rękę nad głową córki... głowa jej opadła, jakby ciężkim pochylona ciężarem, brzemie-

niem opuszczającego ją życia, uśmiechnęła się i pozostała nieruchoma.

Wstrząśnięta głęboko temi słowami, tonem głosu jakim były wypowiedziane i owem błogosławieństwem Emelina utkwiła w matce przerażone spojrzenie, nie pojmując że żyć przestała:

Łzy zabłysły w oczach pana de Madiran, pochylił się, pocałował martwą rękę zmarłej, i wskazując na niebo rzekł z uczuciem:

— Córko, moja; matka twoja już do lepszego przeniosła się świata!...

XXI.

Kapitan Rovelou zapalił właśnie ogromną swoją czarną fajkę którą tak się chlubił i już miał puszczać z niej gęste kłęby dymu zasłaniającego zupełnie poczciwą jego dużą głowę—gdy wtem nagle wyjął cybuch z ust—a szkoda, fajka tak się dobrze paliła, tytuń pachniał tak mile!... To też popatrzył na nią z żalem jakby wystawiając się na pokusę, poczem zamruczał:

— Kroć-sto-tysięcy bomb i kartaczy! a to dopiero kapitalne chciałem wystrzelić głupstwo!... Gamuń jesteś, stary Rovelou!... zapominasz się... a co gorzej postępujesz jakbyś nie miał serca... Chciałeś palić fajkę pod oknem panny hrabianki... Oj! niedołęgo! żeby też tak dać się opanować nałogowi i zapomnieć że nie znosi dymu, że powróciła do nas... A sercu tak miło, tak błogo czuć jej obecność, iż zapomina się że czas jakiś była w Paryżu gdzie tak wiele wycierpiała. Ale wróciła do nas dzięki niebu!

Monolog ten przerwało mocne uderzanie o ścianę poruszanej wiatrem okiennicy; kapitan nie zauważył nawet że dnia tego dął wiatr silniejszy niż zwykle.

Młoda główka wychyliła się oknem i mała rączka mocniej przytwierdziła okiennicę.

— Ach! jakże miło oddychać tem ożywczem powietrzem... jaka piękna ta Żyronda, w której wód zwierciadle odbijają się jasne premienie słońca... Od ośmiu miesięcy patrzę na nią i dość napatrzeć się nie mogę!...

Mówiła to z łagodnym uśmiechem, a z pięknych jej oczu cicha patrzyła radość.

— Bogu chwała iż nie przykrzy ci się u nas, panno Emelino.

— A gdzież mogłabym znaleźć zacniejsze, więcej kochające mnie serca i serdeczniejsze przyjęcie?... Wszak Accroches to prawie moje rodzinne miejsce.

— O! pani d'Astiville bardzo pragnęła zabrać panią do siebie, i Bóg wie co nie wygadywała na nas żeśmy tu panią ściągnęli.

Poczciwy kapitan dumnym był z tego że młoda hrabianka przełożyła skromny ich kącik nad pobyt w domu zamożnych krewnych.

Emelina odrzuciła bez wahania ofiarowaną jej gościnność w domu kuzynów, czując że serce jej nie potrafi za nią wynagrodzić tak jak tego żądano, gdy przeciwnie pociągało ją do Accroches, gdzie ją wszyscy kochali szczerze, i gdzie Ludwika oczekiwała jej przybycia ze łzami radości.

Nazwisko pani d'Astiville wywołało lekką chmurkę na wypogodzone czoło dziewczęcia; przypomniało jej natarczywą, interesowaną czułość i nadskakiwania, przesadzone pochwały, matkę szukającą dla syna bogatej żony, syna pragnącego pochwycić jak najprędzej znaczny posag.

Nie mogła pomyśleć o nich bez pewnego oburzenia. Zawsze myśląca i rozważna musiałaby odgadnąć o ile chciwość wpływa na postępowanie Gustawa i baronowej, gdyby nawet ukrywające się w jej sercu uczucie, opromienione słodką nadzieją nie uczyniło ją przenikliwszą i ostrożniejszą jeszcze. Utrzymywała z d'Astiville'ami stosunki pokrewieństwa o tyle tylko o ile tego wymagała przyzwoitość, to jest odpisując na pełne przesadzonych czułości listy baronowej, bardzo grzecznie, ale chłodno i krótko.

O Gustawie, pani d'Astiville pisała mało, ale zawsze z rozczuleniem i ubolewaniem; jakby chciała koniecznie obudzić żal i współczucie w sercu jego niewdzięcznej kuzynki. „Ten drogi mój syn tak nieszczęśliwy!... Biedny chłopiec tak strasznie zawiedziony w swych najdroższych nadziejach!... Mój Gustaw zawsze smutny, do wszystkiego zniechęcony... i t. d., i t. d.“ Na nieszczęście podobne ubolewania matki mogłyby tylko w takim razie być wzruszającemi, gdyby nie można było odgadnąć tak łatwo głównego ich powodu.

Emelina już od kilku miesięcy opuściła pałac d'Anglejean wraz z przywiązanemi do niego, a tak bolesnemi dla niej wspomnieniami, a wróciła do tej cichej wioski w której przed tem tak spokojnie upływało jej życie. Nic się tam nie zmieniło, z wyjątkiem starej matki Rovelou, nie wstającej już wcale z łóżka, którą teraz pielęgnowała z podwójną troskliwością, i zozweselała rozmową. Odkąd Emelina wróciła, staruszka nie użalała się na nic, i ze wszystkiego była zadowoloną.

Kapitan zapytał Emeliny, czy nie zechce pójść z nim do jego ulubionej przystani, gdzie właśnie pozostawił więcierze i pozarzucał wędki, aby zobaczyć czy się jakaś rybka schwytać nie dała. Przystała na to chętnie, gdyż i dla niej była to najmilsza przechadzka, przypominająca jej Roberta i całą z nim rozmowę.

— I owszem! zawołała wesoło. Ludwiko!... Ludwiko!... może pójdziesz z nami?

Ludwika ukazała się na progu, z rękawami poodwijanemi, aż do łokcia, z miną gospodyni nie myślącej się odrywać od rozpoczętego zajęcia.

— Gdzież to się wybieracie?

— Do przystani, zobaczyć czy w więcierzach lub na wędkę nie schwytała się jaka rybka.

— Życzę wam przyjemnego spaceru, ale nie pójdę z wami.

— Czy tak pilne masz zajęcie?

— Czy pilne... czy pilne...

Ludwika otworzyła już usta jakby chciała wypowiedzieć powody zniewalające ją do pozostania w domu, ale wyraziste spojrzenie kapitana, zniewoliło ją do milczenia.

— A więc do widzenia, rzekła Emelina, nie domyślając się nawet że kapitan chce coś ukryć przed nią.

— Tak, do widzenia, odpowiedziała Ludwika, uśmiechając się filuternie.

Szli wolno obok siebie, rozmawiając swobodnie, wesoło, i patrząc na nich trudnoby się domyślić że pod względem ich położenia towarzyskiego, tak wielka między nimi zachodzi różnica. Zacierała ją równa z obydwóch stron, szlachetność duszy i prawość charakteru, a wzajemna życzliwość uprzyjemniała ich stosunki. Wszystko co mówiła Emelina zachwycało kapitana, a cokolwiek opowiadał kapitan bawiło pannę d'Anglejean.

Jak dawniej tak i teraz wiejskie dzieciaki przybiegały do Emeliny, nadstawiając swe ogorzałe twarzyczki.

— Tak jesteście brudne że was pocałować nie mogę, mówiła uśmiechając się łagodnie.

Całe grono biegło natychmiast do rzeki aby się umyć i otrzymać od niej pocałunek gdy powracać będzie.

Przed domem Toulousse'a krzątano się żwawo. W oknach zawieszono czyste firanki, stojące jeszcze przed progiem sprzęty świeżo pomyte i wytrzepane, odznaczały się niezwykłą czystością; pani Toulousse kończyła właśnie myć podłogę, a mąż jej tak starannie ostrzył brzytwy jakby się spodziewał jakiegoś niezwykłego klienta, bo dla zwykłych nie zadawał sobie tyle trudu.

Toulousse'owie zamienili z kapitanem jakieś tajemnicze i pełne zadowolnienia spojrzenie, zdające się wyrażać: „Niedługo już będziemy mogli cieszyć się głośno!“

Poszli dalej po miałkim piasku; orzeźwiający wietrzyk wiejący od rzeki odświeżał powietrze.

W przystani kapitan zastał puste więcierze i wędki nienaruszone, i z tego powodu skrzywił się z tak wybitnym wyrazem niezadowolnienia, że aż Emelina zapytała go, czemu dziś brak smażonej ryby przy obiedzie taką przykrość mu sprawia.

— Może jutro będziemy szczęśliwsi, dodała, a nie można brać za złe rybkom że i one też czasem zdobędą się na ostrożność.

— Tak byłem pewny że połów będzie dobry, taką mamy dziś ochotę na smażone ryby, że chciałbym je mieć koniecznie.

— W takim razie dostaniemy ich u którego z rybaków.

— Gdzie tam; zanieśli już wszystkie na statek udający się do Bordeaux. Gdybyśmy też udali się do stacyi?...

— Najchętniej. Wszak pójdziemy pieszo?

— Nie, popłyniemy lepiej łódką!

— I owszem, przejażdżka będzie przyjemniejszą i zabezpieczymy się od kurzu.

Wprowadził ją do łódki stojącej zawsze w przystani i zaczął ochoczo robić wiosłami. Przypomniał sobie że tak nieraz odwoził do stacyi Cezarynę, i łza rozczulenia zabłysła mu w oku skoro pomyślał, że dzięki anielskiej istocie która teraz zajmuje jej miejsce w jego łódce, ta dumna, zimna i samolubna kobieta, zgasła pogodzona z Bogiem, córką i swemi obowiązkami.

Łódka płynąca pod wiatr posuwała się wolno, pozostawiając za sobą błyszczącą pianę. Emelina siedziała zamyślona; gdzie była myślą? Czy na Żyrondzie obok opiekuna swych lat dziecinnych? Czy w Szampanii obok przyjaciela podzielającego z nią samotność w pałacu d'Anglejean? Czy też dalej jeszcze... w pięknej Hiszpanii, gdzie przebywał ten o którym tak często marzyła?

Odkąd umierająca matka połączyła jej imię z imieniem Roberta, nic było dla Emeliny słodszej pociechy nad wspomnienie tej chwili która się głęboko wyryła w jej pamięci. Nie zwierzyła się z tem nikomu, nawet Ludwice nie powtórzyła tych ostatnich przed skonaniem słów matki, a pan de Madiran którego nie widziała od wyjazdu z Paryża, nie przypominał ich nigdy w swych listach, przez wzgląd na żałobę jak przez delikatność. Tak więc to wzruszające wspomnienie łączyło w sobie urok przewidywanego szczęścia, pewne powątpiewanie o szczęściu jeszcze nieosiągniętem, pragnienie szczęścia które spodziewamy się pozyskać; a wszystko to niepewne, zamglone a jednak miłe.

Zamknęła śliczne oczy aby jej się w myśli przedstawiała wybitniej przeobrażona twarz matki, aby usłyszała wyraźniej jej głos natchniony, gdy uderzenia innych jeszcze wioseł prócz wioseł kapitana wyrwały ją z zamyślenia. Otworzyła oczy, i zobaczyła nagle przed sobą twarz człowieka którego kochała i szanowała, twarz pana de Madiran, siedzącego w zbliżającej się ku nim łodzi.

Powstał spotkawszy jej spojrzenie, ona podniosła się także zadziwiona, szczęśliwa, i powitali się z głęboką radością, z wyrazem szczerego uczucia.

Wtenczas z głębi łodzi podniosła się z żywością inna jeszcze postać leżąca dotąd na macie na której rybacy tak lubią spoczywać, a z ust Emeliny wydarł się okrzyk zdradzający tajemnicę jej serca.

— Pan Robert!

Same słowa nie miały żadnego znaczenia, ale dźwięk głosu, wyraz z jakim zostały wypowiedziana!...

Robert dopuścił się prawdziwego szaleństwa otrzymawszy to pomimowolne wynurzenie uczucia, przeskoczył ze swego czółna w czółno Emeliny, zapominając że tak jedno jak drugie może przewrócić się straciwszy równowagę, a że czółno kapitana było wązkie, musiał pozostać w niem klęcząc, tak jak spadł do niego.

Nie tylko on ale i Emelina nie widziała w tem nic złego: serca ich tak były przejęte radością że zapomnieli o wszelkich przepisach ostrożności, ale kapitan zmarszczył brwi i zawołał:

— Mogłeś tym sposobem przewrócić obiedwie łódki, panie Robercie.

— Ba! czy nie wiesz o tem, kochany kapitanie, że fortuna śmiałym sprzyja, odpowiedział Robert, przyciskając do ust rączkę Emeliny.

Panna d'Anglejean teraz dopiero zrozumiała dla czego Ludwika tak gorliwie zajęła się gospodarstwem, odgadła powód wesołości Toulousse'ów, cel przejażdżki czółnem, i kiedy jej oczy rozpromienione szczęściem były zwrócone na ojca, drżąca rączka pozostawała w dłoni syna.

— Jak wy wszyscy dla mego szczęścia porozumiewacie się z sobą, odezwała się nakoniec drżącym ze wzruszenia głosem.

— Bo wszyscy kochamy cię bardzo, drogie dziecię, odpowiedział pan de Madiran.

Teraz już obie łódki płynęły obok siebie do Accroches, uderzając miarowo wiosłami; jakby siostry bliźniaczki dążące w jedną stronę.

Mało do siebie mówiono, bo jakiemiż słowami zdołanoby wypowiedzieć radość wypływającą z połączenia się nakoniec razem, po tylu tajemnych walkach i przebytych próbach? Jedno spojrzenie lub drżenie ręki bywa w takim razie daleko wymowniejszem.

— Otóż i oni! zawołała Ludwika biegnąca nad brzeg rzeki w towarzystwie Toulousse'a, jego żony i kilkorgu wiejskich dzieci.

Tajemnica została zachowaną, pomimo że Ludwika musiała czynić przygotowania do przyjęcia gości, a Toulousse z żoną napracowali się dobrze aby im przygotować u siebie jakie takie pomieszczenie.

Teraz za to nie posiadali się z radości. Co to za szczęście powitać znów pod swym dachem szczodrego młodzieńca, który przysłał im tak sute wynagrodzenie za swój pierwszy pobyt w ich domu, a teraz przybywa do nich z ojcem zapewnie nie mniej szczodrobliwszym, a może bogatszym jeszcze. Łatwo się domyśléć jak trudno im było zataić przed mieszkańcami wioski tak szczęśliwy i ważny dla nich wypadek, ale chodziło o zrobienie przyjemności pannie d'Anglejean, i równie ściśle jak Ludwika dochowali tajemnicy.

Niepodobno byłoby opisać czystej, serdecznej wesołości, wynikającej z tego połączenia się serc kochających, nie potrzebowali w tej cichej i malowniczej wiosce trzymać się przepisów i zwyczajów świata, i chociaż z ust Emeliny i Roberta nie wyszło ani jedno słówko zdradzające ich wzajemne uczucia, zdawało się od pierwszej chwili spotkania że już są narzeczonymi.

XXII.

Już blizko rok upłynął od dnia w którym Cezaryna zakończyła życie, błogosławiąc córkę i rozporządzając poniekąd jej przyłością. Pan da Madiran sam sbrupulatny i delikatny, umiał uszanować te uczucia w innych, i dla tego życzył sobie aby minęła ta smutna rocznica, zanim pojedzie z Robertem do tej którą już oddawna nazywał „córką.“ Ale bywają wypadki w których rozsądna starość musi być wyrozumiałą na niecierpliwość młodości. Robert bronił wymownie swej sprawy, przypominając swoją uległość, przymus jaki sobie tak długo zadawać musiał, a nakoniec dobrowolne wygnanie.

Czy nie czas już było wynagrodzić go za tyle dni posępnych, za smutek ukrywany tak starannie, za poszanowanie posunięte aż do zupełnego zaparcia się siebie? Zresztą dlaczegóż nie miałby się upomniéć o Emelinę, skoro mu ją oddała sama Cezaryna?

Pan de Madiran uwzględniając gorące prośby syna, postanowił że pojada do Accroches we wrześniu po skończeniu grubej żałoby, kiedy już będzie mógł zapytać Emeliny czy zechce oddać rękę jego synowi. Gdyby minister spraw zagranicznych odmówił w tej porze roku urlopu młodemu konsulowi w San-Sebastian, ciało konsularne byłoby z pewnością straciło jednego ze swych najzdolniejszych, ale zarazem najniezależniejszych członków.

Trudno byłoby znaleźć coś odznaczającego się taką prostotą i bardziej wzruszającego nad te zaręczyny w Accroches. Było to nazajutrz po przybyciu panów de Madiran. Sędziwa matka Rovelou która rozpłakała się z radości zobaczywszy Roberta, odezwała się do niego głośno z prawdziwie wieśniaczą otwartością.

— Niechże cię Bóg błogosławi, panie Robercie, za to że dotrzymałeś obietnicy! Sądziłam że cię już nie zobaczę, a nie chciałabym umrzéć bez tego przekonania że ci których kocham, są szczęśliwymi. Nasza droga Emelina zostanie chętnie twoją żoną, wszak prawda?

— A! babciu Rovelou!... zawołała Emelina ukrywając w dłoniach zarumienioną twarzyczkę.

— Co do ciebie panie Robercie, znam już twoje uczucia; może nie domyślasz się tego nawet jak łatwo je było wyczytać z twych oczu, już blizko trzy lata temu, w czasie twej u nas bytności?... Daj mi twoją rękę... tak... i ty także Emelino... Czy nie prawda panie de Madiran, że po to właśnie przybyłeś do Accroches.

Pan de Madiran ukłonił się z uszanowaniem tej zacnej, pełnej cichych cnót kobiecie, w której Emelina znalazła tak troskliwą opiekunkę.

— Przybyłem tu, pani Rovelou, z prośbą abyś nam oddała pannę Emelinę, gdyż ona, po śmierci matki głównie od pani zależy.

— I owszem, oddaję wam ją! Wiem że was kocha, i że z największą ochotą pójdzie za wami: skoro nadejdzie stosowna pora.

— Za trzy miesiące, odezwał się poważnie pan de Madiran.

— Tak, za trzy miesiące powtórzyła posłusznie Emelina.

Robert nie sprzeciwiał się temu, on także podzielał zdanie, że radosne uroczystości ślubne nie mogą się pogodzić z żałobą.

— Najsłodszy Zbawicielu!... Ty który raczyłeś dokonać pierwszy swój cud w czasie godów weselnych, opiekój się tą młodą parą... błogosław jej... Wola Twoja zbliżyła ich do siebie i będą kochać się zawsze, połączeni świętym węzłem małżeństwa! dodała staruszka z uroczystą powagą.

Jakież to dni szczęśliwe nastąpiły teraz dla dwojga narzeczonych, z których jedne szczególniej przechodziło dotąd tylko przez ciężkie próby. Jakże pięknie rozkwitały w ich sercach najpiękniejsze kwiaty wiosny naszego życia: miłość i nadzieja!

Widok ich szczęścia odmładzał kapitana i Ludwikę. Poczciwa dziewczyna ubolewała nad tem tylko, że teraz nie będzie już potrzebną swej kochanej Emelinie, Rovelou zaś trapił się tem jedynie, że zmuszony wrócić na swój statek, nie może cieszyć się ciągle widokiem szczęścia tej młodej pary.

Towarzystwo żeglugi uwzględniając długoletnią jego służbę, dozwalało mu teraz częściej udawać się do domu, i nigdy student nie dążał z większą radością na wakacye pod dach rodzicielski, jak ten posiwiały marynarz do swej rodzinnej wioski.

A pani d'Astiville i piękny Gustaw? Baronowa omdlała z przerażenia, gdy Emelina uwiadomiła ją że jest już narzeczoną Roberta de Madiran. Był to straszny cios dla niej, gdyż Gustaw ufny w potęgę swych wdzięków, i przekonany że sprawiły na Emelinie zbyt silne wrażenie, aby mogła, po skończeniu żałoby, nie oddać mu z radością swej ręki, rachując na jej posag, spędzał noce przy zielonym stoliku, i przegrywał znaczne bardzo summy, które już pochłonęły większą część posagu matki.

Co do Gustawa, ten zawiedziony w nadziejach, upokorzony w swej próżności, przeklinał kuzynkę, złorzeczył Robertowi, nie za to że pozyskał serce Emeliny, lecz że mu przez to wydarł należące do niej miliony. W parę dni później zaczął szukać innej posażnej panny.

KONIEC.



N. 1. Sukienka z paletocikiem dla dziewczynki lat 7—10.

N. 2. Ubranie dla chłopczyka.

połowa wpuszcza się między wierzch i podszewkę staniczka spodniego, zapiętego z tyłu. Długi, luźny paletocik kołnierzyk ma podwójnie wyłożony objęty wypustkami, u dołu zaś pliską z wypustką, przody zapięte na dwa rzędy guzików.

N. 3. Sukienka princesse ozdobiona wyszyciem krzyżykowym.

Odrobiona z gładkiego i deseniowego granatowego perkalu, zapięta wzdłuż przodu na guziki, dopełniona jest u dołu plisowaniem 22 cent. szerokiem, po nad którem dane przepięcie sfałdowane ze skośnego kawałka 20 cent. szerokiego. Szlak krzyżykowy wyszyty jednym lub kilkoma kolorami liczy przy sukience 5 cent. przy kołnierzu i wykładach 3 cent. Guziki płaskie z konchy perłowej. Kapelusz objęty granatowym aksamitem i zdobny granatową kokardą.

N. 4. 13 i 20. Sukieneczka z wyszyciem w rzucik, dla małej dziewczynki.

Rycina 20 załącza w naturalnej wielkości wzór rzucika wyszytego dwoma kolorami ściegiem luźnym wprost na tle i stanowiącego ładne przyozdobienie ubrań dla dzieci. Sukienka przedstawiona na ryc. 4 odrobiona jest z szarego płótna i ma plastron przedni, w kształcie berty i kieszonki ozdobione rzucikiem. Środek każdej gwiazdeczki wyszyty ponsową bawełną, promienie zaś dodane białą. Dalsze przyozdobienie stanowi niciana koronka 2 cent. szeroka i wypustki z ponsowego szwajcarskiego perkalu. Sukieneczka półwciętą formą princesse, z głębokim wykrojem i krótkiemi rękawkami, dopełniona u dołu falbaną 25 cent. szeroką zastębnowaną w pięć drobnych zakładek i złożoną w kontrafałdy. Zapięcie dane niewidocznie z boku, pod oszyciem z pliski $2\frac{1}{2}$ cet. szerokiej. Kieszonki liczą po 13 cent. długości a 5 szerokości. Rycina 13 przedstawia sukieneczkę zdobną deseniowym materjałem. Kapelusik słomkowy z wianeczkiem polnych kwiatów i wstążką atłasową 2 cent. szeroką.



N. 3. Sukienka princesse ozdobiona wyszyciem krzyżykowym.

N. 4. Sukieneczka z wyszyciem w rzucik dla małej dziewczynki. Patrz plecy na ryc 13 i rzucik na ryc. 20.

N. 5. Suknia z odmienym stanikiem (spencer).

Staniki z odmiennego materyału znówu w obecnej porze bardzo są noszone; do sukien wełnianych robią się z aksamitu do batystowych zaś lub muślinowych z fularu deseniowego lub *satin impryme*. Model jaki podajemy jest z czarnego aksamitu, zupełnie bez rękawów, z przodu i z tyłu równo wycięty; do zapięcia służą kosztowne guziki granatów. Wykrój z szyi dopełniony szmizetką fałdowaną i rękawy z indyjskiego muślinu. Spódnica z żółtawo białego kaszmiru zakończona plisowaniem 50 ct. szerokiem, nad którem dane do samej góry falbanki marszczone, po 8 cent. szerokie. Tylne upięcie dane z prostego bryta.

N. 6. Suknia z bluzkowym stanikiem przybranym chusteczkowo.

Efektowne przybranie sukni z oliwkowej satynki stanowi szlak 16 i 8 cent. szeroki wyszyty w maszynie w kolorowe muszki na tle białem. Spódnica naszyta czterema plisowanemi falbankami po 10 cent. szerokiemi zakończonemi niebieską wypustką. Tunika z przodu złożona z trzech zachodzących na siebie części, oszytych haftowanym szlakiem; z boków dodane części panier zchodzące się pod tylnym brytem lekko podpiętym Chusteczko-

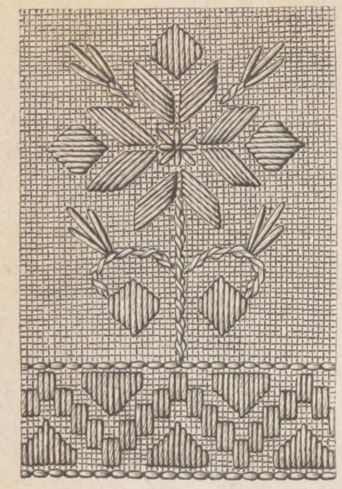


N. 5. Suknia z odmiennym stanikiem (spencer).

N. 6. Suknia z bluzkowym stanikiem przybranym chusteczkowo.

N. 7. Suknia z długim bluzkowym stanikiem. Patrz ryc. 30 w N. 33.

N. 8. Suknia z gładkiem vetement. Patrz ryc. 34 tudzież ryc 28 w N. 33.



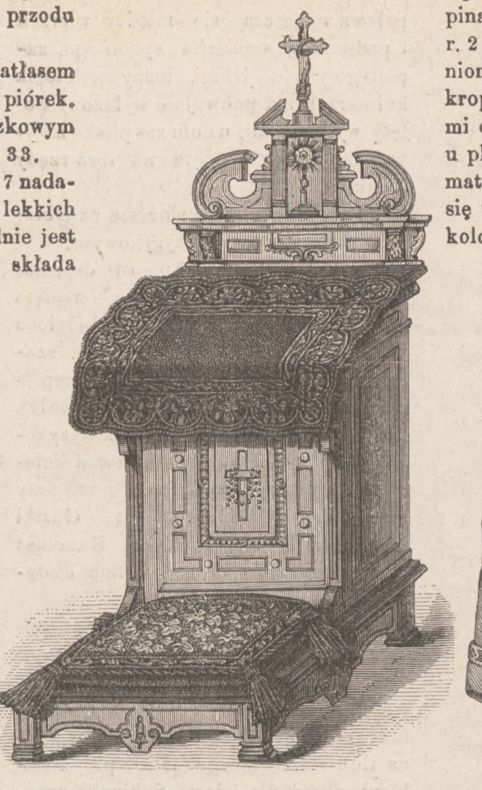
N. Deseń wyszycia ściegiem płaskim do ryc. 23 Wielkość naturalna.

me przybranie na staniku, z tyłu przedłuża się na kształt karoczka z przodu wsunięte jest pod pasek.

Kapelusz słomkowy zdobny atłasem oliwkowym i rozetami z pawich piórek.

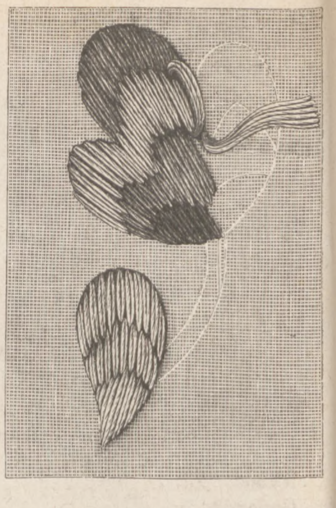
N. 7 Suknia z długim bluzkowym stanikiem. Patrz ryc. 30 w N. 33.

Odrobienie sukni podług ryc. 7 nadaje się do muślinu, batystu lub lekkich tkanin wełnianych i odpowiednie jest dla młodej osoby. Przybranie składa



N. 10. Klęcznik z haftowanym przykryciem i poduszką. Patrz ryc. 16 w N. 33.

wpadającego, gładkiego vetement, zapinanego z boku i dopasowanego podług r. 28 w N. 33. Przody i boki (a-b) dopełnione są częścią *c* przyszytą do dwukropka do gwiazdki i złączoną z plecami od gwiazdki do punktu. Wzdłuż u pleców baskiny naddaje się 6 cent. materjału na szerokość, które zakłada się w fałdę zachodzącą pod spód. Szlak kolorowy 8 cent. szeroki przykrywa



N. 11. Wyszycie liści ściegiem długim do ryc. 16 w N. 33.



N. 13. Sukieneczka dla dziewczynki. Plecy do r. 4.



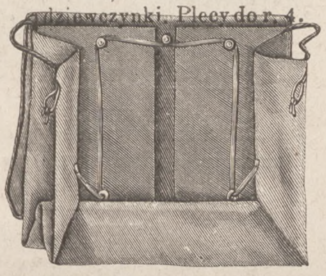
N. 14. Ubranie dla chłopca ozdobione wyszyciem krzyżykowem.



N. 15. Kapelusz z białej florenckiej słomki zdobny białą atłasową wstążką i rozetami pompon dla dziewczynki.



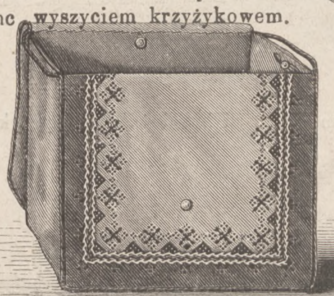
N. 16. Kapelusz dla dziecka zdobny wiankiem niezapominajek i wstążką.



N. Torebka na czepeczki Urządzenie wewnętrzne. Patrz r. 17-18.



N. 17. Torebka na czepeczki. Patrz otwarta na ryc. 19 urządzenie wewnętrzne ryc. 18.



N. 19. Torebka na czepk otwarta. Patrz r. 17 — 18



N. 12. Sposób wyszycia ramki brzeżnej w deseniu ryc. 16 w N. 33.



N. 20. Rzucik do wyszycia na sukience ryc. 4.

się z falbanek plisowanych i fałdowanych z walansjenki 1 cent. i wszywki 3 cent. szerokiej. U dołu dane dwa plisowania, wyżej zaś wolant 24 cent. szeroki, składany w kontrafałdy przedzielane wszywką. Krój



N. 21. Kołnierzyk z wszywki i falbanki haftowany dla dziecka.

daliśmy w maleńkim formacie na ryc, 30 w N-rze 33, *a* oznacza część przednią *b* końce szalowe związane z tyłu. Długi stanik bluzkowy i baskiną, głęboko wycięty z przodu, przybrany wszywkami i koronką. Kokardy z wstążki atłasowej 6 2 cent. szer.

N. 8 i 34. Suknia z gładkiem vetement. Patrz ryc. 28 w N. 33.

Ryciny 8 i 34 przedstawiają przód i plecy ubrania z odmiennego materjału, złożonego z krótkiej spódnicy i długiego, zupełnie do figury

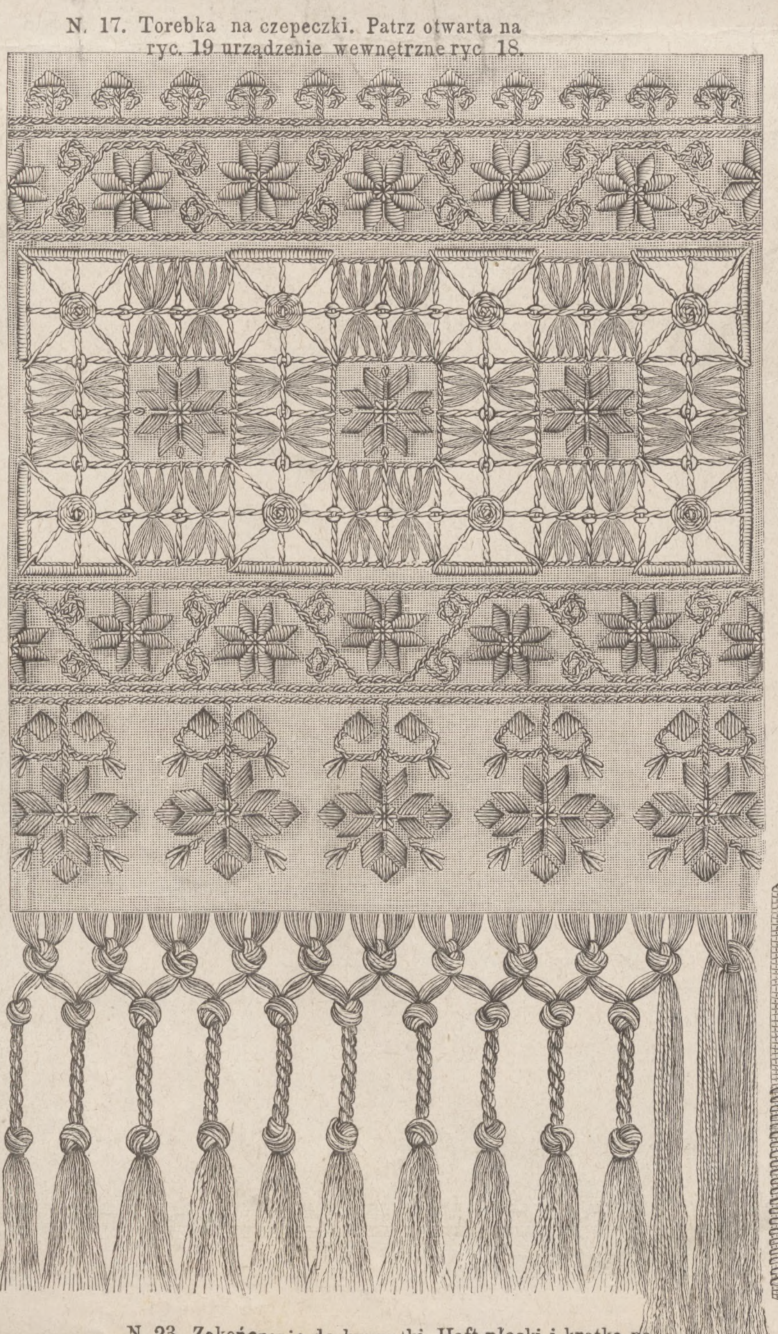


N. 22. Kołnierzyk płócienny z plisowaną falbanką dla dziecka.

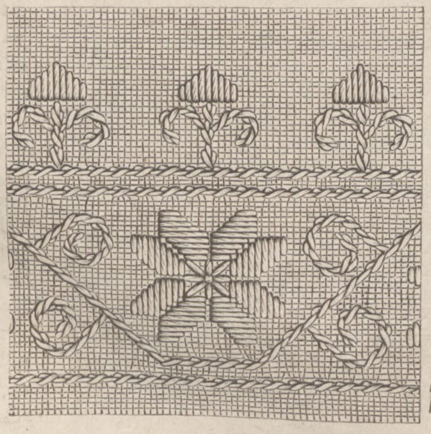
fałdę i dany jest przy wykładach 11 cent. szerokich, przy kieszeniach po 21 cent. długich i przy kołnierzu 9 cent. długim. Guziki z konchy perłowej i podwójna kołorowa wypustka stanowi przyozdobienie. U dołu suknia dane sześć falbanek po $7\frac{1}{2}$ cent. szerokich, również wypustką objętych; na ryc. 34 przybranie spódnicy składa się z rzędów plisowania naszytego w pasy oddzielane wypustką.

N. 9 i 23—25. Zakańczenie do krawatki. Kratka ażurowa i haft płaski na kanwie gazowej.

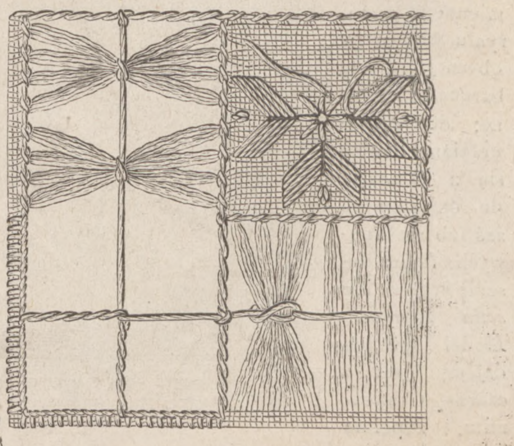
Rycina 23 przedstawia z mniejszone o po-



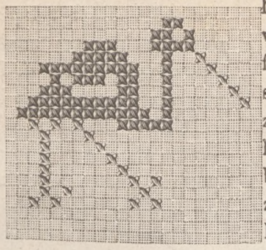
N. 23. Zakończenie do krawatki. Haft płaski i kratka na kanwie.



N. 24. Szlaczek górny do ryc. 23. Wielkość naturalna.

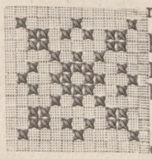


N. 25. Wiązanie kratek i haft płaski do ryc. 24 Wielkość naturalna.



N. 27 Bocian wyszyty krzyżykami do sorwetki ryc. 26.

łowę zakończenie do krawatki, ozdobione u dołu frendzlą wiązaną. Materjał stanowi żółtawa kanwa gazowa, wiązanie kratek i haft dane białem jedwabiem. Rycina 25 wskazuje w naturalnej wielkości wiązanie kratek i część wyszycia. Ażeby robota się nieociągała trzeba kanwę przyfastrzygować na ceracie lub papierze. Szlaczek górny i dolny odrabia się podług ryc. 9 i 24.



Numer 29. Gwiazdka do serwetki r26.

Ń. 14. Ubranie dla chłopczyka, ozdobione szlaczkiem krzyżykowym.

Odrobienie jest z granatowego płótna z szarfą i pliskami z ponsowego perkalu, ozdobionego szlakiem krzyżykowym, wyszytym ponsową bawełną desenie dobrać można z dawniejszych N-rów Tygodika. Krótkie majteceki zapięte z boku mają brzeg górny i przedniej i tylnej połowy wszyte oddzielnie w paski 3 cent. szerokie, urządzone do przypinania do paska od bluzki, Zbywająca szerokość przodów i pleców bluzki nadmarszczona jest na ramionach pod paskiem wyszytym krzyżykami. Patka przednia liczy 12 cent. długosci a 4 szerokości i ścięta jest w końcach szpiczasto.

N. 17—19. Torebka na czepeczki.

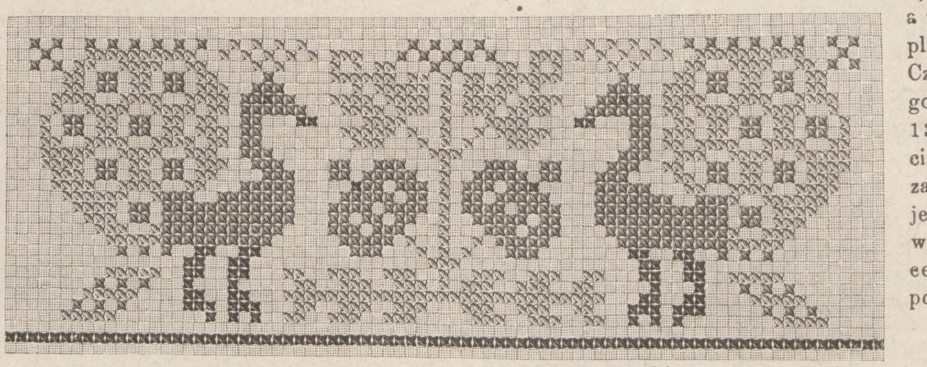
Model przedstawiony na ryc. 17 jak z płótna szarego, urządzony z ruchomami ściankami i ozdobiony wyszyciem krzyżykowem, i szlakiem z granatowego płótna. Ściana tylna i wykład krajane są w jednym ciągu i liczą 44 cent. długości a 24 cent. szerokości. Części te biorą się podwójnie i wsuwa się między nie tekturę na tylną ściankę torebki 20 cent. wysoka. Przód jest takich samych rozmiarów, sufléty boczne liczą 12 cent szerokości a 64 długości. Urządzenie środkowe dopełnia się podług ryc. 18 przed wszyciem sufloktów.

N. 21—22. Kołnierzyki dla dzieci.

Rycina 21 przedstawia kołnierzyk zszyty z wstawek $3^1/_2$ cent. szerokic które najlepiej przed zszyciem nafastrygować na formie wyciętej z papieru. Na szwach i wokoło brzegu nad falbanką przystebnowana wąziutka pliseczka Na ryc. 22 widzimy kołnierzyk płócienny zastebnowany z brzegów zakończony 2 i pół cent. szeroką haftowaną falbanką.

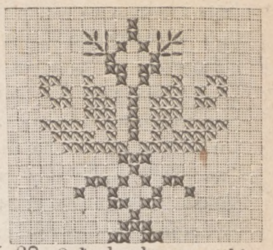


N. 26. Serwetka z wyszyciem krzyżykowym. Patrz ryc. 27—32.

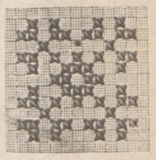


N. 31. Deseń na pawie wyszyte krzyżykami do serwetki ryc. 26.

N 26—32. Serwetka z wyszyciem krzyżykowem Liczy bez frendzli 60 ct. w kwadrat i wyszyta jest bawełną granatową i ponsową; pasy deseniowe kane fabrycznie, przedziełane są wyszyciem krzyżykowym złożonem z różnorodnych figur i deseni jakie przedstawiamy na ryc. 27—32. Między pasamy wyszyć można napisy



N. 28. Gałązka do serwetki ryc. 26.



Numer 30. Gwiazdka dc serwetki r 36

N. 35. Rękaw z otwartym mankietem.

Rękaw nie zszyty przy ręce przy szwie zewnętrznym, przybrauy jest szeroko otwartym mankietem z ciemnej materji, z boku na otwarciu dany wials ki szmuklerski guzik.

N. 36—37. Kołnierz chęstaczkowy i mankiet z fularu.

Może być z białej lub kolorowej mater. surach deseniowego fularu, muślinu indyjskiego, zwykłego lub tiulu albo też z materjału jakim jest suknia przybrana. Model był z fularu w kropki niebieskie i ponsowe a tle białem; na dwa zachodzące na siebie plisowania potrzeba dwóch prostych części Część spodnia szersza liczy 130 eent. długości a 8 szerokości, część zwierzchnia zaś 132 długości a 5 szerokości, ie licząe oszycia z koronki clumy 2 cent. szerokiej. Po zaplisowaniu obydwóch kawałków potrzeba je wszye górnym brzegiem skośny muślinowy w pasek 45 cent. długi a $2^1/_2$ szeroki. Końee oszyte koronką związane w kokardę liczą po 50 eent. długości a 4 szerokości. Mankiet odpowiedni wszyty w prosty pasek daliśmy na ryc. 36.

N. 39—41. Serwetka na poręez do krzesła. Liczy w kwadrat 30 oent. i wyszyta jest bawełną ponsową czarną i nitką złotą na żółtawej kanwie kongresowej rye. 40 wskazuje deseń naroznika w naturalnej wielkości. Krzyżyką deseniu wyszyte są ponsową bawełną i obwodzone są z jednej strony złotemi z drugiej czarnemi krzyżykami środkowy kwadracik podaje ryc. 44 Brzegi serwetki po za obrębem 1 c szerokim oszyte są koronką niciarą 5 cent szeroką.

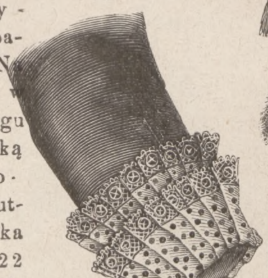
N.4—52. Suknia ze stanikiem zapiętym na dwa rzędy. Kołnierz wykłady, kieszonki, fałdowanie w baskinie i szerokie obłożenia przy tunice są z de-



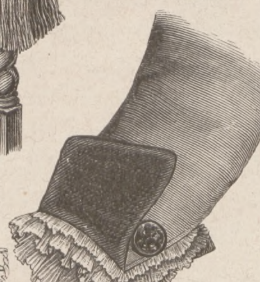
N. 32. Suknia z vetement. Plecy do ryc 1 w N. 33, Patrz krój ryc. 29 w N. 33.



N. 39. Serwetka na poręcz do krzesła. Patrz ryc. 40 i 41.



Ń. 36, Mankiet fularowy odpowiedni do kołnierza ryc. 37

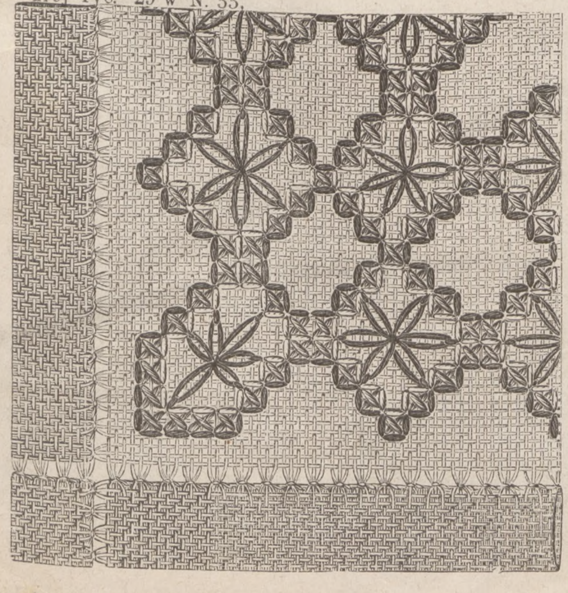


N. 35. Rękaw do sukni zakońezony mankietem otwartym:

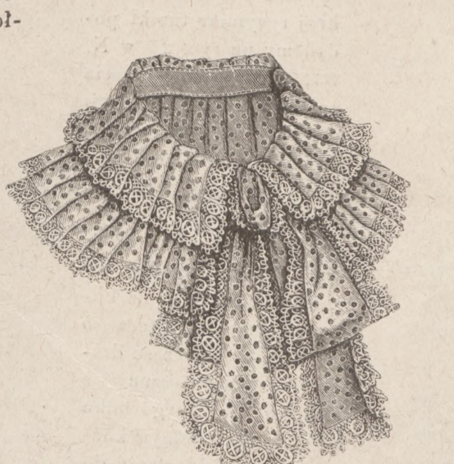




N. 34 Suknia z gładkiem vetement. Plecy patrz ryc 8. Krój patrz r. 28 w N. 33:



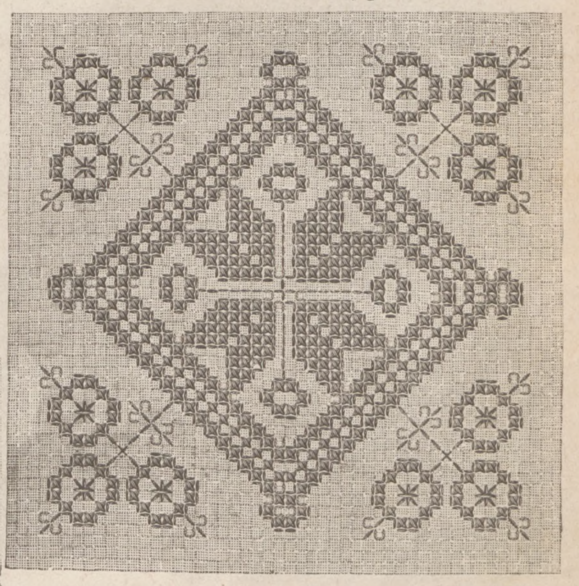
N. 40. Część szlaku (narożnik) do ryc. 39. Wyszycie krzyżykowe z obwodzeniem.



N. 37. Kołnierz chusteczkowy z fularu. Patrz mankiet ryc. 36.



N. 32. Deseń na sowy wyszyte krzyżykami.



N. 41. Kwadracik środkowy do serwetki ryc. 39. Wyszycie krzyżykowe z obwodzeniem.

seniowej satynki, stanik zaś i suknia są z gładkiego oliwkowego perkalu Koronki 4 cent. szerokie służą szerokie służą do przybrania; dla ożywienia sukni dodać można blado niebieskie wypustki jak na ryc. 42. Stanik spięty na dwa rzędy guzików m‹ wszyte na szwach bocznych końce atłasowe 8 cent. szerokie związane z przodu. Przy baskinie pleców założone są kontrafałdy zwrócone pod spód, na plisowanie między fałdami potrzeba kawałków po 22 cent. długich a18 szerokich.

N. 43. Suknia z bluzkowym stanikiem

Materjał na suknię stanowi blado żółtawy bast jedwabny, kamizelka. kołnierz i wykłady dane z fularu w turecki deseń. Fular służy również na krawatkę oszytą żółtawą koronką i wszywką. Przody długiego bluzkowego stanika z baskiną założone są w fałdy po $3^1/_2$ cent. szerokie. Spódnica garnirowana plisowaniem, długa tunika podpięta jest wysoko z boku i w środku z tyłu. Kapelusz podszyty marszczonym bastem, zdobny kokardą, piórem i gałązką różanych pączków.



N. 42. Suknia ze stanikiem zapiętym na dwa rzędy Patrz ryc, 44. N. 43. Suknia z bluzkowym stanikiem. N. 44. Suknia ze stanikiemc zapiętym na 2 rzędy. Patrz ryc. 42.



N. 45—46. Ubranie spacerowe. Krój tuniki patrz ryc. 27 w N, 33,

N. 45—46. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 27 w N. 33.

Ryciny 45 i 46 przestawiają przód i plecy sukni jednym fasonem lecz z odmiennym przybraniem ozdobionej z granatowego gazowego płótna. Na ryc. 46 oszycie dane z pięknej weneckiej koronki, na ryc. 45 tunika oszyta plisowaną koronką 5 cent. szeroką i szlakiem wyszywanym w maszynie, przerabianym fabrycznie lub krzyżykowym.

Spódnicę zakończa plisowanie 20 cent szerokie krój i wymiar tuniki podaliśmy na ryc. 27 w N. 33, *a* wskazuje trzecią najniższą część draperji przedniej upiętą wprost na sukni. Jeden brzeg boczny podług ryc, 46, sfałdowany do 40 cent. przyczepiony jest na środku przodu, drugi bok zaś dochodzi skośnie do klinu bocznego. Litera *b* podaje drugą część draperji; która przerzuca się szalowo z jednego boku do drugiego, jednym końcem po sfałdowaniu do 37 cent. przyczepia na sukni na 8 cent. poniżej paska drugim przeciwległym przyszywa od dwukropka do gwiazdki w odstępie 40 cent. od górnego brzegu sukni. Gorna część draperji oznaczona literą *c* zfałdowana z boków w ten sposób iż tworzy ząb u dołu, przyczepia się w górze podług ryc. 46. Bryt tylny fałduje się podług znaków skazanych pod lit. *d*. Długi paltocikowy stanik kraje się w jednym ciągu lub z odcinaną z przodu baskiną i nosi z paskiem lub bez paska. Kokardy i wstążki atłasowej 4 cnt. szerokiej. Kapelusz ze słomki koloru vieil-or zdobny takimż atłasem i kwiatami rondo od spodu podszyte granatowym aksamitem.



N. 47. Suknia z krótką tuniką. N. 48. Suknia z długiem stanikiem z baskiną,

N. 47. Suknia z długim stanikiem z baskiną.

Ładne przybranie sukni z blado niebieskiego perkalu stanowią różnej szerokości pasy maszynowego haftu ażurowego. Krótka tunika wymaga szerokiego zagarnirowania sukni, które składa się z drobniutkich falbanek przedzielanych wzdłuż pasami haftu. Na tuniczkę potrzeba bryta 125 c. długiego, a 119 szerokiego z przodu przemarszczonego kilkakrotnie z boków zfałdowanego równo do 46 cent. Dolny brzeg obłożony na 8 cent szerokości. Z tyłu tunika dopełniona prostym wysoko podpiętym brytem. Stanik z baskiną ściętą w w szpiczasty bawet, ma z przodu dodane wązkie części kamizelkowe, oszyte wzdłuż koronką i przemarszczane poprzeczne w równych odstępach Haft przy staniku liczy 4 cent szerokości. (*d. n.*)